Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 22.XI.1970 Nr 24 (457) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Przypominamy: „Ruch" przyjmuje prenumeratę „Kameny" na rok 1971 do 25 listopada, poczta – do 10 grudnia!

Rodzina „Żuków" fot. L. Sarnecki

Kaktus na kółkach

Mirosław Derecki

JEST podobno w kronice Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie fotografia sprzed jedenastu lat, która przedstawia ówczesnego dyrektora fabryki, stojącego na tle nowego „Żuka". Fotografia o tyle odbiegająca od podobnych jej, stereotypowych, że dyrektor trzyma na dłoni... kaktus. Dlaczego? A, to już cała historia... Otóż pod koniec lat pięćdziesiątych FSC stała przed wielką niewiadomą. Gdzieś na wysokich szczeblach ministerialnych zapadła decyzja o zaprzestaniu produkcji popularnego wówczas samochodu ciężarowego „Lublin" i ważyły się losy zakładu. Mówiło się coraz głośniej, że przejdzie on na inny rodzaj produkcji, z motoryzacją nie mający nic wspólnego.

Tymczasem grupa miejscowych projektantów pospiesznie opracowywała prototyp lekkiego samochodu dostawczego tak potrzebnego krajowi. Ten samochód, późniejszy „Żuk", miał uratować honor FSC. Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego patrzyło na wysiłki dyrekcji i projektantów z dużą dozą sceptycyzmu. I kiedyś, w czasie kolejnej dyskusji z dyrektorem, miało paść zdanie: „Prędzej nam kaktus na dłoni wyrośnie, jak wy tego swojego „Żuka" będziecie produkować." Słowo się rzekło mimochodem, ale dyrektor dobrze je sobie zapamiętał. Kiedy w 1959 roku taśmę montażową FSC opuściła tysięczna furgonetka typu A-03, zapoczątkowującego wielką rodzinę lubelskich „Żuków", dyrektor postawił sobie na dłoni doniczkę z kaktusem, wezwał fotografa a następnie wysłał zdjęcie do Zjednoczenia. Była w tym geście spora doza przekory, ale przede wszystkim chyba swoisty znak triumfu, że podjęte dzieło zostało zwieńczone sukcesem.

W 1959 roku wyprodukowano tylko 1948 „Żuków", ale już rok 1964 przyniósł ich 9150, w roku następnym 2 tysiące furgonetek sprzedano za granicę, w 1967 roku eksportowano ich prawie trzy tysiące. W ostatnich latach produkcja roczna sięga 15 tysięcy, każdego dnia z taśmy montażowej schodzi około 60 samochodów, w połowie listopada br. opuścił wrota fabryki stutysięczny „Żuk". O randze zakładu niech świadczy fakt, że pierwszy w województwie przeszedł on na nowy system bodźców ekonomicznych.

* * *

Wiosną 1947 roku stary Loboda zdecydował się na wyjazd w nieznane. Zostawił na opiece sąsiadów swoje półtora hektara gruntu, dom, przysadzisty, mocno nadwerężone zębem czasu budynki gospodarskie, zabrał żonę, czterech synów, córkę i wyruszył na Ziemie Zachodnie. Była to w życiu rodziny decyzja heroiczna, jako że jechało się na niepewne, ludzie w wiosce byli zasiedziali z dziada pradziada i do podróży dalekich, a już szczególnie do przenosin z całym gospodarskim majdanem — nieskorzy. Jak kto wrósł w tę glebę kielecką, nadwiślańską, w okolicę spokojną, cichą, w której czas wyznaczało tylko buczenie syreny starego, kołowego parowca kursującego po Wiśle między Puławami a Sandomierzem — ten w sposób z dawien dawna usta-

Dokończenie na str. 7

Przejmujący autoportret

Tadeusz Kłak

1

PO trzech latach, jakie upłynęły od śmierci Wacława Mrozowskiego, ukazały się dwie jego książki poetyckie. W Łodzi miejscowe wydawnictwo opublikowało obszerny tom zatytułowany „Spojrzenie wstecz", w Lublinie zaś — zbiorek szczuplejszy pod tytułem dosyć długim: „Tu pod każdym kamieniem moja młodość leży". Są to nowe książki, ale nie nowe, nie znane jeszcze czytelnikowi utwory. Przeciwnie, oba tytuły stanowią wybory poetyckie, każdy na innej zasadzie oparty.

„Spojrzenie wstecz" mieści dosyć obszerny przegląd dorobku poetyckiego autora „Cyganerii". Autor układu, Jerzy Jarmołowski, odstąpił od chronologii, właściwie całkowicie ją pominął. Zamiast podawać wiersze w kolejności tomów, stworzył cztery działy, w których według uznania poumieszczał wybrane utwory. Oczywiście, ustanowione działy: „Powroty", „Obok śmierci", „Pieśń o ziemi" i „Z Johsem Barleycornem" wskazują na główne pokłady liryki Mrozowskiego. Niemniej jednak można sobie wyobrazić inne kompozycje, również w jakiś sposób uzasadnione. Nie wydaje się wszakże, by budowa tomu, który jest wyborem i przez jakiś czas będzie zastępował prezentację całego dorobku poetyckiego Mrozowskiego, pomijająca chronologię, była uzasadniona. Zysków nie widać żadnych (w każdym razie autor wyboru ich nie wskazuje, nie tłumaczy się wobec czytelnika, który ma do tego prawo), a straty są bardzo oczywiste: gubi się ewolucja liryki Mrozowskiego, zamazują się kontury jego biografii poetyckiej.

Ale za to wzbogacił się tom łódzki wspomnieniami o autorze, wypowiedzianymi na wieczornicy poświęconej Mrozowskiemu. Stanisław Kaszyński i Czesław Twardzik powiedzieli o nim interesujące rzeczy, Jan Koprowski zaś bardzo słusznie — wydaje się — naszkicował pewne rysy osobowości poety.

Lubelskiemu wyborowi lane przyświecało zamierzenie. Chodziło o ukazanie tego nurtu poezji Mrozowskiego, w którym poeta wypowiada swoje związki z ziemią rodzinną, z kręgiem dawnych przyjaciół. Jednak skrzydełko tomiku mylnie powiadamia, że zawiera on wiersze „pisane ze świadomością zbliżającego się końca poetyckiej wędrówki". Owszem, są i takie wiersze, ale książeczka stanowi właściwie wybór z całej twórczości Mrozowskiego: z jednego tylko zbioru przedwojennego „Dobranoc... dobranoc..." pochodzi osiem wierszy, a więc bez mała jedna trzecia zawartych w wyborze.

Nie marginesowa to uwaga. Co innego bowiem oznaczałby powrót na końcu do źródeł swego życia, do ojczyzny ludzkiej i poetyckiej, a czym innym jest stała pielęgnacja przywiązania do rodzinnej ziemi, nieustanna pamięć o ludziach i miejscach najbliższych mimo oddalenia. Niewielka, ale ładnie edytorsko przygotowana książeczka „Tu pod każdym kamieniem moja młodość leży" stanowi akt wdzięczności za dowody poetyckiej pamięci, jest dobrym przykładem wypełnionego obowiązku wobec pisarzy tej ziemi przypisanych.

Lubelszczyzna była dla Mrozowskiego ojczyzną z tytułu urodzenia. Ale twórczością oraz wielu in-

Dokończenie na str. 11

Bukiet dla nauczyciela

Bohdan Komorowski

MINĘŁO ćwierćwiecze od czasu, gdy Komitet Porozumiewawczy Federacji Nauczycielskich uchwalił na XIX sesji w Moskwie sławną już dziś Kartę Nauczyciela. Ów dokument praw i obowiązków nauczycielskich, przeniknięty duchem demokratycznym, podkreśla rolę nauczyciela jako siewcy oświaty, obarcza go jednak również brzemieniem obowiązków w stosunku do społeczeństwa w ogóle, a wychowanków w szczególności. Z jednej strony zobowiązuje pedagogów do nauczania, wychowania i ustawicznego dokształcania się w duchu ideałów postępu, patriotyzmu i zbliżenia międzynarodowego, z drugiej zaś przyznaje prawo do samodzielnych decyzji w procesie dydaktyczno-wychowawczym i do odpowiedniego uposażenia. Oto charakterystyczne fragmenty z Karty:

Nauczyciele mają do spełnienia wielkie zadanie społeczne (...) Stawiając za cel właściwy rozwój osobowości dziecka, nauczyciel powinien uznawać wolność wierzeń i przekonań swych uczniów i rozwijać w nich ducha krytyki (...). Podstawowym obowiązkiem wychowawcy (nauczyciela) jest szacunek dla osobowości dziecka, odkrywanie i rozwijanie uzdolnień, troska o wychowanie i nauczanie, stałe formowanie moralności ludzkiej i obywatelskiej w duchu demokracji, pokoju i przyjaźni między narodami.

Duch Karty Nauczyciela przeniknął w naszym kraju ustawę z 1956 roku o prawach i obowiązkach nauczycieli, zwaną często nową pragmatyką nauczycielską, w nowoczesnym brzmieniu bowiem określa procedurę zawiązywania i rozwiązy-

Dokończenie na str. 2

„Od ara płacę..."

Stanisław Harasimiuk

1

W PEKAESOWSKIM „Sanie" z lubelską rejestracją ścisk niemiłosierny. Przewaga kobiet w trudnym do określenia wieku; skądś już to znam: „warunki wiejskiego żywota po trzydziestce z reguły niwelują różnice w wyglądzie zewnętrznym". Wśród czterdziestoletnich prawie-staruszek strzegących na rozstawionych szeroko kolanach skromnych węzełków, kilka młodych dziewczyn w tyle wozu — w mini sukienkach, z workami i tekturowymi walizkami wciśniętymi pod siedzenia. Kilku mężczyzn siedzi potulnie na skrawkach ceratowych foteli, zdetonowani niecodzienną przewagą k o b i t, nie próbują nawet nawiązać zwykłych gadek o polityce przeplatanych narzekaniami na urzędy, trudności materiałowe i fatalną tego lata pogodę.

Wjeżdżamy w senne uliczki Hrubieszowa. Za brudnymi szybami przesuwa się pejzaż jak żywcem wyjęty ze stronic „Cynamonowych sklepów" Schulza. W objeździe jednokierunkową „arterią" obszerne koło zatacza niszczejąca samotnie cerkiew, kłująca oczy spotęgowanymi słońcem złocistościami wzdętej kopuły. Kobiety cokolwiek się ożywiają. Jesteśmy już na zakurzonym i zaniedbanym „dworcu" PKS.

Pasażerki niespiesznie wysypują się na wybolsty placyk. Nieopodal sporo „wuesek", „eshaelek" i „emzetek", nieco dalej kilkanaście furmanek. Kobiety idą ukosem w kierunku tzw. Kozackiego Rogu.

Do uformowanych w kilkuosobowe grupki niewiast statecznie podchodzą gospodarze.

— Pochwalony.

— Na wieki wieków.

Chwila towarzyskiej rozmowy o pogodzie, podróży. Potem gospodarz.

— Trza mi cztery do buraków.

— Kiedy nas je pięć. Chcieliby my razem.

Chłop grzebie biczyskiem w pyle tuż obok sandałów włożonych wprost na bose nogi, namyśla się chwilę, taksuje wzrokiem grzecznie milczące, doskonale w sumie apetyczne kobiety, którym nieobce, jak widać, są prawa popytu i podaży na wiejskim rynku pracy.

— Może być, sie mówi trudno.

— A po czemu płacicie?

— Niby jak?

— Za dzień.

— Ni ma za dzień. Tera robi się akordowo — ile zrobi, tyle ma. Zeszłego roku wypadało mnie przeważnie po sto i dwadzieścia na dzień. Ale rzetelne byli kobity do roboty. Od ara płace. A jedzenie także samo moje.

— Dobra, a po czemu? Za ar niby.

— Dogadamy się, kobity, na miejscu. Do wójta nie pójdziem.

— To jak? — pyta najniższa, najwyraźniej przewodniczka grupy. Koleżanki powściągliwie kiwają głowami, kołyszą się lekkie, kolorowe, stożkowato uformowane chustki o wysuniętych nad czoło daszkach chroniących twarze przed skwarem.

— No, to pójdziem do woza — mówi chłop i rusza przodem w kierunku furmanek. Za nim kobiety.

Na skraju placyku w kilku jeszcze miejscach trwają analogiczne pertraktacje.

2.

Rozalka ma lat 40 a może 60, rzecz nie do zidentyfikowania. Pochodzi z powiatu radzyńskiego. W gospodarstwie Teofila H. pracuje już od trzech tygodni. Tego lata. Przedtem też pracowała u Teofila H. — w 1969, w 68 i 67 roku — więc to już czwarty sezon. Ufają sobie wzajemnie, szanują: ona pewną możliwość rzetelnego zarobku, on solidnego robotnika.

Teofil H. ma 18 hektarów i chorowitą żonę. Wszystkie dzieci w mieście, najstarszy syn, już żonaty, jest adwokatem w Lublinie.

Dokończenie na str. 6—7

teatrnn.pl

Z wystaw BWA

Karol Skaruch, autor reprodukowanej akwareli „Sopocki las" obchodzi pięćdziesięciolecie działalności plastycznej. Malarstwo sztalugowe i grafikę uprawia od roku 1930. Bierze udział w wystawach organizowanych przez Związek Nauczycielstwa Polskiego, a od 1948 roku we wszystkich niemal wystawach okręgowych ZPAP w Lublinie, uczestniczy w ekspozycjach ogólnopolskich, ma wystawy indywidualne. Jest członkiem ogólnopolskiej grupy „Zachęta", z którą wystawiał w Lublinie, Warszawie, Krakowie, Radomiu i Rzeszowie. Prace w zbiorach Muzeum Okręgowego w Lublinie, w galeriach szkolnych i u osób prywatnych. Za długoletnią pracę w szkolnictwie odznaczony Medalem X-lecia. Posiada Srebrny Krzyż Zasługi, Krzyż Partyzancki, Medal Zwycięstwa i Wolności, Odznakę Grunwaldzką Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego, złotą odznakę ZNP, odznakę Zasłużonego Działacza Kultury.

W malarstwie zainteresowany jest przede wszystkim tematyką pejzażową, ujmowaną na sposób kolorystyczny. Wystawa jubileuszowa czynna była w salach lubelskiego BWA na przełomie października i listopada.

Karol Skaruch: Sopocki las — akwarela

Janina Miłosowa — jej rysunek reprodukujemy — czynnie uczestniczy w życiu plastycznym Lublina od początku lat trzydziestych. Była organizatorem i prezesem grupy „Krąg" w Lublinie w roku 1931, współorganizowała Związek Artystów Plastyków w Lublinie (1936 r.). W latach 1939 — 34 zajmowała się także działalnością pedagogiczną, była pierwszym dyrektorem powojennego Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie. Przewodniczyła delegaturze lubelskiej ogólnopolskiej grupy „Zachęta", do której w dalszym ciągu należy. Od 1944 roku uczestniczy w wystawach okręgowych i ogólnopolskich, m. in. grupy Zachęta" w Warszawie, Krakowie, Radomiu, Kielcach, Rzeszowie i Lublinie. Miała szereg ekspozycji indywidualnych na terenie Lubelszczyzny, ponadto w 1954 roku brała udział w wystawie objazdowej w Australii, m. in. w Sydney. Za pracę społeczną otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi w 1938 roku, za działalność artystyczną Nagrodę m. Lublina w 1961. Posiada odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego i Zasłużonego Działacza Kultury. Prace w zbiorach MKiS oraz u osób prywatnych.

Postimpresjonistyczny pejzaż i martwa natura to główne płaszczyzny malarskiej uwagi Janiny Miłosiowej, na których tendencja do barw ciepłych i nasyconych kojarzy się ze skłonnością do bezpretensjonalnych tematycznie kompozycji. Wystawa jubileuszowa popularnej malarki — 50-lecie działalności — czynna była na przełomie października i listopada w lubelskim BWA.

Janina Miłosiowa: Wołyń — rysunek

fot. Andrzej Polakowski

Kultura 1970

Literatura

* W Łodzi przebywał jako gość Oddziału ZLP prozaik białoruski Janka Bryl, tłumacz wielu utworów z literatury polskiej. Jako żołnierz polski brał udział w obronie Wybrzeża w 1939 roku. Podczas swego pobytu Bryl uzgodnił wydanie w Łodzi obszernej antologii poezji białoruskiej, a w Mińsku — antologii poetów łódzkich.

* W USA ukazała się znaleziona wśród rękopisów powieść Ernesta Hemingwaya „Wyspa na rzece", zawierająca wiele momentów autobiograficznych, a składająca się z trzech części. Została ona ukończona w 1952 roku. Powieść ta w przyszłym roku ma się ukazać nakładem PIW w tłumaczeniu Bronisława Zielińskiego.

* „Pasażer do Frankfurtu" — to najnowszy kryminał Agaty Christie, cieszący się w Anglii szczególną popularnością. Kryminał opisuje historię pięciu współczesnych porwań samolotu.

* Sensacją literacką we Francji stało się tłumaczenie bestsellera amerykańskiego „Panowie — nie żeńcie się" Jima Morau. Książka pełna jest zjadliwego humoru. W przedmowie Rene Clair ujawnił swój zdecydowany antyfeminizm.

* W Żytomierzu zostanie wkrótce otwarta jako muzeum biblioteka, należąca kiedyś do Balzaka. Obejmie ona książki w językach francuskim, rosyjskim i polskim. Biblioteka szczęśliwie przetrwała wojnę, chociaż kościół, w którym była przechowywana, został zniszczony.

* Jak wykazały sondaże na Górnym Śląsku, tamtejsza inteligencja techniczna czyta więcej książek literackich i społeczno-politycznych niż technicznych.

Teatr

* „Historią o dobrym grzeszniku" Hartmana von Aue rozpoczął nowy sezon popularny w Szczecinie teatr „Krypta", występujący w piwnicy zamku Książąt Pomorskich. Zespół stanowią aktorzy teatrów szczecińskich, którzy ten teatrzyk traktują jako rzecz „trochę dla zabawy, a trochę z chęci robienia czegoś innego, co nie mieści się na tradycyjnej rozumianej scenie". W ciągu 7 lat wystawiono 6 premier i 6 prapremier.

* Zarówno warszawski Teatr Dramatyczny jak i Teatr Paryski wystawiają sztukę „Hadrian VII" gdzie jako autora podaje się Petera Luke. W rzeczywistości był on tylko adaptatorem powieści pisarza angielskiego Fredericka Rolfe, zwanego również baronem Corvo. Ten dziwny człowiek, cierpiący na manię prześladowczą, był profesorem, klerykiem, gondolierem i dziennikarzem, zmarł w 1913 roku na serce mając 53 lata. Okresami żył jak burżuj, okresami był nędzarzem.

* W Hanowerze wystawiono sztukę Armanda Gattiego „Wzgórze", a w Monachium „Dlaczego zwierzęta domowe?" tego samego autora. Jeden z krytyków określił je jako „teatralne sztuki wstrząsów intelektualnych". Autor pisze obecnie sztukę na 100-lecie Komuny Paryskiej.

* Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się książka Stanisława Kaszyńskiego „Teatr łódzki w latach 1945—1962".

Sztuka

* Prawie 250 specjalistów od konserwacji dzieł sztuki z różnych krajów brało udział w trzydniowej konferencji, zorganizowanej w Toruniu. Głównym tematem była sprawa konserwacji malarstwa sztalugowego. Przedstawiciel USA dr Buck stwierdził m. in.: w Polsce znajduje się co najmniej dziesięć razy więcej pracowni konserwatorskich niż u nas.

* W Museum of Science and Industry w Chicago eksponowana była wystawa „10 fotografów Europy", na której każdy fotografik przedstawił 15 fotogramów. Wśród nich był Edward Hartwig z cyklem „Kulisy teatru".

* Muzeum w Oświęcimiu posiada ponad 187 tys. eksponatów, w tym 1300 dzieł sztuki, powstałych w obozie lub jemu poświęconych.

* Na wystawie w nowojorskim Withney Museum 50-letni architekt Paulo Soleri zaprezentował makiety przyszłych miast, które powinny rozrastać się w górę a nie horyzontalnie, niszcząc naturę. Budynki ze stali, szkła i betonu sięgają 300 pięter. Źródłem energii są podziemne reaktory jądrowe, pełno ruchomych schodów i trotuarów, ani jednego samochodu, fabryki pod ziemią.

Muzyka

* Wybitna polska skrzypaczka, prof. Eugenia Umińska, obchodziła w gronie bliskich jubileusz 40-lecia działalności artystycznej i 25-lecia pracy pedagogicznej. W tej chwili poza normalną pracą prof. Umińska pisze podręcznik „Studium gam i pasaży na skrzypce" i przygotowuje spuściznę skrzypcową Maławskiego, a wraz z prof. Dubiską wydanie narodowe dzieł Wieniawskiego.

* — Jeśli praca idzie mi sprawnie, komponuję cały dzień, ale to zła metoda. Ponadto komponuję bardzo szybko, co także uważam za mankament, który później staram się naprawić. Najważniejsze, aby muzyka znajdowała oddźwięk u słuchaczy — powiedział w wywiadzie Szostakowicz.

Film

* Nadawany przez naszą telewizję serial filmowy „Saga rodu Forsytów" Galsworthy'ego zawiera 26 odcinków. Zdjęcia wykonywano rok. Gra 150 aktorów, plenery nakręcano w 100 miejscowościach, uszyto ponad 1000 kostiumów. Serial kosztował 250 tys. funtów szterlingów.

Marianna Wertyńska, córka znanego piosenkarza radzieckiego Aleksandra, zakończyła zdjęcia do komedii sytuacyjnej „Siedem narzeczonych kaprala Zbrujewa" i już podjęła rolę w następnym filmie, tym razem w dramacie „Miejsce pod słońcem".

* Moskwie powstają filmy oparte na „Czajce" i „Karuzeli" Antoniego Czechowa.

Różne

◆ Jeden z kabaretów murzyńskich w Harlemie pokazuje program, obejmujący recytacje poezji przy akompaniamencie muzyki jazzowej. Na początku spektaklu gaśnie światło, a konferansjer zapowiada: teraz wszyscy mamy jednakowy wygląd — czarny.

◆ Połowa mieszkańców Austrii nie czyta w ciągu roku nawet jednej książki. Biblioteki publiczne świecą pustkami.

◆ W jednej z egipskich piramid odnaleziono papirus sprzed 4 tys. lat, w którym czytamy: Żyjemy w epoce upadku obyczajów, młodzież nie szanuje swych rodziców, jest nerwowa, niecierpliwa i wybuchowa. Wszystko to zapowiada zbliżanie się chwili, w której ludność zniknie z powierzchni ziemi.

* Warszawa posiada ponad 500 obiektów zabytkowych, 24 budynki teatralne, 29 muzeów, 67 kin, 15 domów kultury, 121 świetlic i klubów osiedlowych, 3 parki kultury.

* W Mediolanie troje dzieci Luigi Pirandella wytoczyło proces dawnej przyjaciółce ojca aktorce Maria Abba za samowolne ogłoszenie listów prywatnych oraz kilku utworów literackich.

* Ukazał się szósty z kolei tom Rocznika Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach, poświęcony głównie opracowaniom z zakresu archeologii i historii ruchu oporu.

Kamena str. 2

Bukiet dla nauczyciela

Dokończenie ze str. 1

wania stosunku pracy, wymiar zajęć, uposażenia, urlopu, emerytury, określa też uprawnienia Związku Nauczycielstwa Polskiego. Ustanawia poza tym tytuł honorowy „Zasłużony Nauczyciel Polski Ludowej" i „Medal Komisji Edukacji Narodowej".

Międzynarodowy Dzień Karty Nauczyciela, święcony uroczyście 20 listopada co roku, uznano powszechnie na świecie za Międzynarodowy Dzień Nauczyciela. W chwili obecnej przypada na ustanowiony przez UNESCO Międzynarodowy Rok Oświaty, rok, w którym szczególnej wagi nabierają ogólnoświatowe problemy dydaktyczno-wychowawcze, a na ich tle funkcja obywatelska pedagogów.

W związku z Dniem Nauczyciela wielu wybranych spośród czterystutysięcznej rzeszy pedagogicznej w Polsce — od przedszkola po szkoły wyższe — dostępuje zaszczytu otrzymania wspomnianych uprzednio najwyższych odznaczeń, nagród, wyróżnień. Cała brać nauczycielska spotyka się z objawami wdzięczności w postaci wiązanek kwiatów i imprez okolicznościowych.

W ręce nauczyciela — tak jak pod opiekę lekarza — oddaje społeczeństwo to, co ma najdroższego: dzieci. Nie na dzieciach czy młodocianych kończy się jednak oddziaływanie nauczycielstwa. Nauczyciele szkół dla pracujących i kadra naukowo-dydaktyczna uczelni wyższych obejmuje „rząd dusz" nad młodzieżą pracującą zawodowo, absolwentami szkół średnich, nad ludźmi dojrzałymi i dorosłymi w ramach kursów doskonalenia, szkół pomaturalnych, studiów stacjonarnych, zaocznych, eksternistycznych, wieczorowych i podyplomowych, a także na arenie kulturotwórczego oddziaływania na środowisko. Spod opieki nauczycielstwa wszystkich szczebli wychodzą absolwenci zasilający kadry dla kraju, dla gospodarki narodowej, co nabiera szczególnej wagi w słowach W. Gomułki na II Plenum KC PZPR:

Jeśli będzie się budować zakłady, to równocześnie trzeba rozwijać szkolenie ludzi dla tych zakładów, zapewnić im kadrę.

Bądź co bądź 8 milionów ludzi w Polsce Ludowej uczy się, a nad ich procesem dydaktyczno-wychowawczym czuwa przede wszystkim nauczyciel polski.

Skoncentrujmy dziś głównie uwagę na nauczycielstwie szkolnictwa podstawowego i średniego liczącego ponad 300 tysięcy, a odczuwającego nieraz trudy swego mozolnego zawodu. Nauczyciel jest obarczany obowiązkami społecznymi wobec środowiska, masą zobowiązań i zebrań. Wrzawa szkolna, ustawiczne napięcie uwagi i nerwów w czasie lekcji czy na przerwach, konieczność intensywnego przygotowania się do zajęć — wszystko to nie stwarza właściwych warunków zdrowotnych. 80 procent nauczycielstwa cierpi na jedno lub więcej schorzeń, a więc tylko jedna piąta jest zdrowa. Na czoło wysuwają się schorzenia uszu i dróg oddechowych, systemu nerwowego i układu krążenia, wady wzroku, dolegliwości reumatyczne. Wśród kobiet dominują nerwice, a jest ich — niewiast — przecież trzy czwarte na froncie szeregowej pracy nauczycielskiej, podczas gdy na stanowiskach kierowniczych w szkolnictwie królują w trzech czwartych mężczyźni, niewolni od typowych schorzeń kierowniczych.

Nic dziwnego, że władze oświatowe coraz bardziej niepokoją się tą zachorowalnością i wynikającą z niej absencją. Społeczeństwo zaś, choć w pełni docenia szczytną misję pedagoga, nie zawsze może zapewnić mu wygodne mieszkanie, warunki zdrowotne w pracy szkolnej, pomoc lekarską, badania okresowe, sanatoria i wczasy (zwłaszcza rodzinne, do których się tak wzdycha po barówce dla cudzych dziatek kosztem własnej familii). A gdzież czas wolny na rozrywkę, sport i turystykę? Żeby to jeszcze rodzice i opiekunowie szli zawsze z pomocą wychowawczą nauczycielowi, który boryka się o własnych siłach z szarpiącymi nerwy trudnościami pedagogicznymi mimo troski czynników partyjnych i rządowych o sprawy nauczycielskie.

O ile w drugiej dekadzie każdego listopada wyczyta nauczyciel moc ciepłych słów w prasie pod swoim adresem, o tyle w innych porach niejedną pigułkę przełknie z uczuciem goryczy, choć nie zawsze wie, czy łyka dla zdrowia. Autorka wnikliwego skądinąd artykułu o nauczycielach, Wiesława Grochola, tak oto kończy swą wiwisekcję w „Polityce" (nr 37 w br.):

Zawód wymagający szczególnych kwalifikacji i zamiłowania przyciąga u nas często ludzi przypadkowych i pozbawionych talentu; praca mająca nieobliczalne skutki społeczne nie skupia dostatecznego zainteresowania i nie cieszy się autorytetem, zaś ważnej roli działalności nauczycielskiej nie towarzyszy dostatek społecznej kontroli i pomocy (...). Kurczeniu się wychowawczej roli rodziny nie odpowiada rozwój funkcji wychowawczych, które przejmowałyby szkoły, a kontakt z uczniem wymagający klimatu pewnej intymności staje się kontaktem coraz bardziej rzeczowym i biurokratycznym. Te właśnie rozbieżności stanowią jedną z przyczyn rozziewu między wzniosłymi postulatami i opiniami, jakie wygłasza się na temat nauczycieli od święta, i tym, co się mówi na co dzień.

Nie pragniemy być w stosunku do nauczycielstwa innymi od święta, a innymi na co dzień. Zdajemy sobie sprawę, że cztery piąte nauczycielstwa weszło do zawodu już w Polsce Ludowej i że choć wielu — to ludzie przypadkowi, atoli ogromna większość składa się z jednostek ofiarnych i zdolnych do poświęceń. Około 50 tysięcy nauczycieli rocznie zdobywa się na dokształcanie, łącząc studia z pracą szkolną, a wynikiem tego jest 65 procent nauczycieli szkół podstawowych z dyplomem ukończenia studium nauczycielskiego lub uczelni wyższej. Coraz więcej nauczycieli pogłębia wiedzę zawodową i sprawność pedagogiczną w ramach samokształcenia, samopomocy koleżeńskiej i licznych kursów, wyrzekając się relaksu na łonie rodziny i rezygnując z wypoczynku wakacyjnego. Kluby nauczycieli nowatorów, studia wiedzy pedagogicznej pod egidą wydziałów pedagogicznych niestrudzonego Związku Nauczycielstwa Polskiego i niezmordowanych ośrodków metodycznych, znany rozmach eksperymentów pedagogicznych (za przykład niech posłuży lubelski eksperyment oświatowy, kontynuowany pod kierunkiem naukowym Instytutu Nauk Pedagogicznych i Filozoficznych UMCS) — oto poczynania, które mogły skłonić Janinę Borowską z „Trybuny Ludu" (20.XI.1969) do stwierdzenia:

Kształtuje się powoli nowy model nauczyciela, którego znakiem szczególnym jest ciągły niepokój, poszukiwanie nowych metod pracy.

Bezsprzecznie, są tacy co zawód nauczycielski opuszczają i to z własnej woli, jak owych 40 tysięcy w latach 1952—1964; głównie ze względów rodzinnych, albo niewłaściwej oceny wkładu pracy, trudnych warunków mieszkaniowych itp. Załamywali się przeważnie młodsi, ale reszta pozostała na posterunkach i trwa dla dobra narodu, zdobywając w niejednym plebiscycie popularności miejsce równe wzięciem stanowisku profesora wyższej uczelni.

Wobec tej rzeszy ludzi o ogromnej randze społecznej chylimy czoła w uznaniu i podzięce.

Bohdan Komorowski

Z żałobnej karty

Ludwik Pawłowski

NAS, byłych wychowanków Seminarium Nauczycielskiego w Szczebrzeszynie, w którym Ludwik Pawłowski pracował przez pięć lat, wiadomość o jego śmierci przejęła głębokim żalem i smutkiem. Bo choć rozstaliśmy się z nim przeszło czterdzieści lat temu, pozostawaliśmy stale pod wpływem ideałów, które zaszczepił w naszych młodych jeszcze wówczas sercach. Jego właśnie zasługą było to, że wielu spośród nas wyrosło na postępowych działaczy. Nikt chyba tak jak on nie potrafił na lekcjach historii wpajać zasad prawdziwego patriotyzmu, opartego na krytycznym myśleniu i wnioskowaniu, a więc patriotyzmu twórczego, polegającego na świadomym wyborze dróg, prowadzących do budowania Polski prawdziwie silnej i sprawiedliwej. Wielu z jego wychowanków w różnych okresach zapoznało się z represjami i więzieniami, a niektórzy z nich poświęcili życie w walce o Polskę taką, jaką nauczył ich kochać.

Ludwik Pawłowski urodził się 14 września 1900 roku w Żmerynce na Podolu, szkołę średnią ukończył we Lwowie. Od 1 stycznia 1923 roku, nie przerywając studiów, przyjechał do Szczebrzeszyna jako nauczyciel historii i nauki o Polsce współczesnej. W roku 1928, po dwuletnim urlopie, kończy studia psychologiczne na UJ i zostaje profesorem w Państwowym Pedagogium w Lublinie, w którego organizacji bierze czynny udział. Miał zasłużoną opinię świetnego wykładowcy i wychowawcy. Równocześnie należał do czołówki lewicowych działaczy ZNP w Lublinie, będąc najpierw wiceprezesem, a potem prezesem Zarządu Okręgu ZNP. Równocześnie był współredaktorem „Ogniska Nauczycielskiego".

W 1935 roku wchodzi w skład Prezydium Zarządu Głównego ZNP jako przewodniczący Wydziału Pedagogicznego i przenosi się do Warszawy. Po zawieszeniu działalności władz ZNP, w październiku 1937 roku wraca na kilka miesięcy do Lublina i tu bierze bardzo czynny udział w przygotowaniu strajków nauczycielskich w województwie, w związku z czym ówczesny starosta lubelski w tajnym piśmie do wojewody występuje o jego karne przeniesienie do innego kuratorium. Przez ostatnie dwa lata przed wojną jest skarbnikiem Zarządu Głównego ZNP, a także członkiem rady nadzorczej banku Społem, w którym pracował podczas okupacji, prowadząc przysposobienie zawodowe nowych pracowników, werbowanych wśród zaufanych osób. Tuż po wojnie był dyrektorem tego banku.

Od 1949 roku przechodzi do pracy w szkolnictwie wyższym. Jako dziekan Wydziału Handlu bierze czynny udział w przekształceniu SGGW na SGPiS, następnie jest dyrektorem departamentu w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego. Od 1956 roku przechodzi do pracy w Ministerstwie Finansów, zajmując tam stanowisko dyrektora generalnego, będąc zarazem redaktorem naczelnym miesięcznika „Finanse". W roku ub. przeszedł na emeryturę, pracując społecznie jako wiceprezes Zarządu Głównego TPD. Odznaczony był Orderem Sztandar Pracy II klasy i in.

Podobno każdy człowiek u kresu drogi życiowej wraca, przynajmniej myślami, do miejsca, gdzie kształtowała się jego osobowość, gdzie rozpalał się żar jego serca. W czasie okupacji, wizytując placówki spółdzielcze na Lubelszczyźnie, prawie zawsze choć na chwilę wpadał do Szczebrzeszyna. Po wojnie jego cichym marzeniem było napisanie dalszego ciągu dziejów Seminarium Nauczycielskiego (okres lat 1916—1926 przedstawił wespół z dr. Zygmuntem Klukowskim w książce „Szkoły im. Zamojskich w Szczebrzeszynie"), ale wobec licznych obowiązków nie mógł na to znaleźć czasu. Gdy w roku 1969 dowiedział się, że kilku b. wychowanków pracuje nad odtworzeniem dalszej części dziejów Seminarium, natychmiast skontaktował się z nimi, zorganizował kilka zebrań w Lublinie i już jako przewodniczący komitetu redakcyjnego zebrał część rękopisów, przyspieszając znacznie wykonanie prac. Na ostatnim zebraniu w kwietniu 1970 roku mówił: Niestety nasze szeregi wykruszają się szybko, a razem z nami zniknie i pamięć o naszych czasach. Musimy nasze prace skończyć w tym roku...

Niestety! Chociaż pozostała do wykonania tylko ostateczna redakcja i układ całości — Ludwik Pawłowski nie będzie już oglądał realizacji swego zamysłu. Zmarł w Warszawie 27 września. Pozostała o nim pamięć jako o człowieku prawym i szlachetnym, jako o wspaniałym wychowawcy organizatorze i społeczniku.

Hipolit Kozioł

Kazimierza Brauna nowy teatr poetycki

Fot. W. Parys

— Osiem lat działalności reżyserskiej, które ma Pan za sobą równa się czterdziestu przedstawieniom na scenie dramatycznej i jedenastu w telewizji. To dużo, a właściwie bardzo dużo, jeśli przypomnimy autorów, będących w kręgu dotychczasowych Pańskich zainteresowań: Szekspira, Norwida, Wyspiańskiego, Brechta, Millera, Osborne'a, Kruczkowskiego, Różewicza... Odmienne poetyki, różne sprawy do rozwikłania. Jaki był pierwszy istotny, Pana zdaniem, etap pracy reżyserskiej?

— Rozpoczął się prapremierową inscenizacją trzech jednoaktówek — „Karol", „Na pełnym morzu", „Strip-tease" — w Teatrze „Wybrzeże" w Gdańsku w 1961 roku, gdzie rozpocząłem pracę zawodową po dyplomie. W tym też teatrze zrealizowałem „Kaukaskie kredowe koło" Brechta i od tego czasu na dłużej zainteresowałem się niemieckim dramaturgiem, czego rezultatem m. in. „Mutter Courage" na scenie lubelskiej.

— Wybitny znawca Brechta, Roman Szydłowski, ceenił to pierwsze przedstawienie jako próbę polskiego spojrzenia na twórczość Brechta, z odrzuceniem całej jego warstwy pouczającej, mentorskiej, jako próbę przełożenia dramatu na polską uczuciowość i tradycję polskiego teatru, w tym przypadku romantycznego.

— To był właśnie ten pierwszy, istotny etap mojej pracy... Wyszedłem z dobrej szkoły realizmu psychologicznego: jeszcze jako student Wydziału Reżyserii warszawskiej PWST pięciokrotnie asystowałem Erwinowi Axerowi w Teatrze Współczesnym, co uważam za fakt nader dla mnie ważny i szczęśliwy. Właśnie w obrębie realizmu psychologicznego z akcentami kompozycji poetyckiej — na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych — przyszło mi szukać swej tożsamości reżyserskiej, czy, szerzej, teatralnej.

— Wtedy właśnie dojrzewało pokolenie „Współczesności"...

— To pokolenie wtedy już działało. Ja dopiero zaczynałem. Z ludzi w taki czy inny sposób związanych z teatrem, moimi rówieśnikami lub trochę starszymi kolegami są Bryll, Jan Bratkowski, Grześczak, Klossowicz... Ale wracając do tamtej sprawy: tych kilka sztuk psychologiczno-realistycznych, które robiłem — do nich zaliczyłbym m. in. „Wrogów" Gorkiego, „Nie do obrony" Osborne'a, „Śmierć Gubernatora" i późniejszych „Niemców" w Skopje — prowadziły mnie do owej tożsamości na zasadzie nieco przekornej. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że s p r a w d z i ć s i ę mogę jedynie w opozycji do tej szkoły.

— Nie zgadzamy się z poglądami swoich mistrzów, czy tak?

— Naturalnie, tylko tak. Dlatego do wymienionych przedstawień nie przywiązuję dziś największej wagi, aczkolwiek wspominam je z dużym sentymentem, doceniając przy tym wartość samej szkoły. Istotne znaczenie przykładam przecież do poszukiwań „nowego teatru poetyckiego".

— Czy mógłby Pan najogólniej określić ten teatr?

— Najogólniej. Bo zdefiniować? Nie, to chyba w ogóle jest niemożliwe. Próbowałem, co prawda, powiedzieć coś na ten temat w artykule „Wyspiański i nowy teatr poetycki", zamieszczonym w 2 numerze „Współczesności" z 1969 roku. Próbowałem po raz drugi, szerzej, w ostatnim rozdziale „Poetycki teatr Norwida", zamykającym książkę o tym twórcy, która ukaże się w Państwowym Instytucie Wydawniczym... „Nowy teatr poetycki" wymaga uświadomienia sobie miejsca i momentu historycznego, w którym znalazł się teatr: gdzie jesteśmy, co i po co robimy.

— To chyba moralny i niejako metodologiczny obowiązek ludzi tworzących teatr, odpowiedzialnych za jego losy...

— Ba! Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się od kilku cierpkich uwag pod adresem ludzi piszących o teatrze, którzy zdają się cierpieć na brak pamięci, bo o niedostatki świadomości historycznej nie śmiem ich podejrzewać. Czy nie może np. śmieszyć felietonowy katalog chwytów współczesnego teatru, sformułowany przez błyskotliwego skądinąd krytyka, umieszczającego w rejestrze środków wyrazowych n o w o c z e s n e g o teatru chwyty znane od kilkuset, czy wręcz kilku tysięcy lat? Jak można sugerować, że kukłę wprowadził w 1969 roku do polskiego teatru amerykański Bread and Puppet Theatre?! Ja sam w „Zaczarowanym kole" Rydla w 1965 roku tłum „żywej" szlachty zastąpiłem gromadą kukieł, w „Weselu" tego samego roku wprowadziłem ogromne kukły-nadmarionety chochołów — nie to nie mój przecież wynalazek!

— Podobne koneksje zauważono z okazji „Aktu przerywanego" Różewicza, który kilka miesięcy temu i po raz pierwszy w Polsce wprowadził Pan na scenę lubelską, po czym pokazał na ekranie telewizyjnym.

— Gdy czytam takie „wpływologiczne" relacje, jestem zażenowany. Jeśli bowiem wie się, jak wystawił swego czasu Kantor „Świętą Joannę" — ogromne kukły symbolizujące m. in. **Władzę i Kościół** — jeśli przypomnimy, że Meyerhold kończył „Rewizora" przemienieniem tłumu gości w kukły, jeśli na dodatek wie się, co siedemdziesiąt lat temu na temat marionety mówił Craig, co na temat maski napisał Artaud i jaką funkcję pełnił w teatrze antycznym koturn, maska i onkos — to nie wolno dziś mówić o kukle, jako o czymś nowym!

— Powracając do „nowego teatru poetyckiego"...

— ...nie można obejść się bez historii. Nie wiemy dokładnie, jak wyglądały dawne przedstawienia, oparte na scenariuszach poetów teatru: Szekspira, Moliera, Cozziego, czy commedii dell'arte. Choć jesteśmy przekonani, że były to widowiska poetyckie, mimo iż teatr był w nich pierwotny wobec literatury. Natomiast z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy odtworzyć sobie, jak wyglądały inscenizacje z drugiej połowy ubiegłego wieku, te szare, płaskie kalki trzeciorzędnego pisarstwa, i wiemy jaki był znakomity polski teatr międzywojenny: wtedy teatr poetycki utożsamiał się z poetycką literaturą, był to więc rodzaj inscenizacji poetyckiego słowa.

— A Pan, bez względu na gatunkową przynależność tekstu, chce tworzyć t e a t r poetycki?

— Właśnie. Jeśli tamten teatr był poetycki wtedy i o tyle, o ile poetycki był tekst stanowiący podstawę widowiska, to ja pragnę tworzyć rzecz poetycką w kategoriach s c e n i c z n y c h, a niekoniecznie poetycką w kategoriach t e k s t u. Nie mając zresztą w tym względzie żadnych pretensji do miana wynalazcy. Nie udaję, że nie wiem, co się dzieje w teatrze polskim, co się dzieje na świecie. Przeciwnie, chcę wiedzieć jak najwięcej, jeśli więc mogę, jeżdżę za granicę, szalenie interesuje mnie Grotowski, Hanuszkiewicz, Jarocki, Swinarski, Wajda i inni... Historia kultury dostarcza przy tym wielu przykładów, że różni ludzie w pewnym momencie myślą o tych samych sprawach i wręcz wymyślają te same rzeczy, a przecież wcale niekoniecznie informowali się wzajem czy kopiowali.

— Fenomenologia i kubizm to zjawiska równoczesne, ideowo pokrewne, a przecież wiadomo, że Husserl i Picasso nie spotykali się na żadnej płaszczyźnie.

— Często dochodzimy do tych samych rzeczy niezależnie, co nie wszyscy chcą czy potrafią zrozumieć.

— A więc tekst literacki jako odskocznia w teatr poetycki?

— Mam przekonanie, że możliwe jest zbudowanie całości scenicznej, rządzącej się sobie tylko właściwymi prawami, wyrażającej się odrębnym językiem, a więc poetyckiej rzeczywistości teatralnej nieprzekładalnej na żadne dyskursywne definicje, nierozkładalnej na elementy słowa, muzyki, gestu, plastyki. Całość działająca jak poezja, czyli w sposób nie dający się przetłumaczyć. A sztuka, zarówno w literaturze, muzyce i teatrze, jeżeli była sztuką, zawsze była poetycka. Sztuka jest przecież metaforą. Myślę, że nowy teatr poetycki jest dziś najdobitniejszym sposobem teatralnej wypowiedzi. Daje on poetycki ogląd rzeczywistości. Daje szansę nie mniejszą, a w mym przekonaniu większą niż słowo — gorącego włączenia się w nurt współczesności.

— Pańskie zainteresowania Norwidem nie są więc przypadkowe.

— Są one rezultatem stopniowego uświadamiania sobie, że rodzaj poezji, który uprawiał Norwid, znakomicie współbrzmi właśnie z nową poezją teatralną, celem moich poszukiwań. Jego poezja — mówiąc najprościej — jest zbiorem cytatów z rzeczywistości. Rzeczy na owe czasy, a i dziś także, w potocznym odczuciu brudne, „niepoetyczne", słowa brane z potocznej mowy, stany biologiczne pod jego piórem stawały się wielką poezją — na drodze tajemniczych zabiegów twórcy. To Norwid patronuje teatrowi współczesnemu w jego obrażaniu konwencjonalnych uczuć widza. Moje przedstawienie „Czasu jutrzennego" Czechowicza, rozgrywane na p i a s k u, również jest tej poetyki przykładem.

— Jako jedyny reżyser w Polsce zaprezentował Pan wszystkie cztery pełnospektaklowe sztuki Norwida: „Pierścień wielkiej damy", „Kleopatrę i Ce-

Dokończenie na str. 8—9

Ośrodki przystosowania społecznego

Nic bez pracy

Edward Skrętowicz

W OSTATNICH latach na całym świecie daje się zauważyć poważny wzrost liczby recydywistów w stosunku do ogółu skazanych, jak i recydywistów wielokrotnych w stosunku do ogółu recydywistów. W Polsce zjawisko to nie wykazuje w każdym razie tendencji malejącej. Szczególnie niebezpieczni są recydywiści wielokrotni, będący rozsadnikami przestępczości wśród nieletnich i młodocianych oraz stanowiący element nadzwyczaj słabo podatny na zabiegi wychowawcze i resocjalizacyjne. Badania tych zjawisk wykazują także, iż część wielokrotnych przestępców odznacza się odchyleniami od normy psychicznej oraz że w pracy resocjalizacyjnej za słabo dociera się do konkretnego środowiska, z którego pochodzi przestępca.

Jeśli idzie o uchronienie młodzieży przed wpływami środowisk przestępczych lub przed oddziaływaniem wzorców pasożytniczego życia, to należałoby nie tylko podnieść autorytet szkoły, lecz przede wszystkim wyrobić w młodym pokoleniu odpowiednio silny i atrakcyjny motyw osiągnięć przez bardziej optymalne wykorzystywanie zdolności i pragnień tego pokolenia. Środowiska natomiast przestępcze trzeba równocześnie poddać szerokim wpływom wychowawczym i resocjalizacyjnym, choćby za cenę okresowej izolacji.

W tym stanie rzeczy nowe kodyfikacje karne, które weszły u nas w życie z dniem 1 stycznia 1970 r., specjalną uwagę musiały poświęcić przestępcom wielokrotnym, wprowadzając nowe instytucje prawne i bardziej skuteczne sposoby zwalczania tego groźnego zjawiska. Obok ośrodków przystosowania społecznego, które stanowią takie novum i które będą zasadniczym przedmiotem artykułu, należy wymienić nadzór ochronny jako instytucję bezpośrednio z ośrodkami związaną.

Wprowadzając zaostrzenia kary dla recydywistów, pomyślano też o poczynaniach wychowawczych czy w ogóle o przedsięwzięciach, które pozwoliłyby wrócić przestępcy na uczciwą drogę, kiedy odbędzie on już karę pozbawienia wolności. Nadzór ochronny jest jednym z takich przedsięwzięć. Trwa on od 3 do 5 lat i stosowany bywa wobec recydywistów zwykłych, ale przede wszystkim — bez wyjątku — wobec recydywistów wielokrotnych. Funkcję nadzoru sprawują (zazwyczaj nieodpłatnie) kuratorzy, mający m. in. dopilnować, by zwolniony podjął pracę bądź naukę. W czasie nadzoru ochronnego sąd może zobowiązać ponadto skazanego do wykonywania ciążącego na nim obowiązku utrzymania innej osoby, powstrzymania się od nadużycia alkoholu, poddania się leczeniu, powstrzymania się od przebywania w określonych środowiskach lub miejscach — jeżeli może to zapobiec ponownemu popełnieniu przestępstwa. Jeżeli skazany uchyla się od nałożonych na niego obowiązków, udaremnia lub utrudnia osiągnięcie celów nadzoru, wówczas sąd stosuje wobec niego wspomniany ośrodek przystosowania społecznego.

Instytucja ta ma charakter ochronno-poprawczy. Istotę jej wyraża przepis art. 95 kodeksu karnego wykonawczego (z r. 1969): *Umieszczenie w ośrodku przystosowania społecznego ma na celu dodatkowe oddziaływanie resocjalizacyjne na skazanego w warunkach ograniczenia wolności, wypróbowanie stopnia przystosowania skazanego do zgodnego z porządkiem prawnym życia w społeczeństwie w drodze stopniowego zwiększania uprawnień, a także ochronę społeczeństwa przed dalszym naruszaniem prawa przez osoby umieszczone w ośrodku.* Akcentuje się więc tu dwa elementy: dodatkowe oddziaływanie resocjalizacyjne (wobec wielokrotnych przestępców) i ochronę społeczeństwa przed dalszym naruszeniem prawa przez skazanego.

Podstawowym sposobem tego oddziaływania jest praca społecznie użyteczna. Nie chodzi zatem o ośrodek o charakterze wyłącznie izolacyjnym, lecz jest to nowa, humanitarna próba likwidacji naruszającego porządek prawny konfliktu między jednostką a społeczeństwem — w sposób zgodny z interesem społeczeństwa.

Intencją ustawodawcy nie było masowe stosowanie nowego sposobu resocjalizacji. Zakłada się bowiem, że skierowanie do ośrodka stanowi ostateczność, kiedy zawiodą inne metody oddziaływania lub kiedy na konieczność pobytu w ośrodku wskazuje prognoza kryminologiczna. Czasu pobytu w ośrodku nie określa się z góry, ale nie może on być dłuższy niż 5 lat. Sąd może zwolnić skazanego po upływie 2 lat, jeżeli istnieją podstawy do przypuszczenia, że po zwolnieniu nie popełni on nowego przestępstwa.

Trudno jest dzisiaj mówić o jednolitym typie tego ośrodka, a należy raczej spodziewać się, że będą tworzone ośrodki o różnym stopniu ograniczenia wolności, stosownie do wieku skazanych, stopnia ich demoralizacji itp. W każdym razie skazany, jak wspomniano, będzie miał obowiązek pracy, przestrzegania porządku i dyscypliny oraz będzie musiał pokrywać koszty swego pobytu w ośrodku. Nie wolno mu też opuszczać terenu ośrodka bez zgody kierownictwa. Skazany będzie miał prawo do pracy z a r o b k o w e j, posiadania własnej odzieży i dysponowania pieniędzmi pochodzącymi z wynagrodzenia za pracę, a pozostałymi po zapłaceniu kosztów pobytu w ośrodku. Będzie miał także prawo do odwiedzin i korespondencji.

Z omawianą instytucją (jak i z wprowadzoną przez kodeks karny z r. 1969 nową karą ograniczenia wolności) wiąże się problem: czy obowiązek pracy może być przedmiotem kary? Problem ten był często przedmiotem dyskusji, jakie toczyły się w różnych środowiskach nad projektami nowej kodyfikacji karnej.

Powszechnie wiadomo, że praca jest nie tylko formą zdobywania środków do życia, ale też jedną z najistotniejszych form zaspokajania psychicznych potrzeb człowieka i organizowania jego życiowej aktywności. Praca zarazem jest także obowiązkiem człowieka, wynikającym ze społecznego podziału dóbr i ze społecznego uczestnictwa w podziale tych dóbr. Jest wynikiem doskonalenia człowieka i jednocześnie rezultatem nakazu współuczestniczenia w stwarzaniu warunków tego doskonalenia. Wynika to z podstawowej zasady socjalizmu: „Nic bez pracy". Praca stanowi więc pewne obowiązkowe minimum stosowania się człowieka do zasad współżycia społecznego, mimo iż jest też konstytucyjnie zagwarantowanym przywilejem. To właśnie minimum obowiązku należy egzekwować i jeśli trzeba — nawet w drodze przymusu. W tym ostatnim wypadku praca będzie miała skutek w pełni wychowawczy. Całkowity nadzór nad tego rodzaju pracą — w ośrodku przystosowania społecznego — sprawuje sędzia penitencjarny, który będzie sprawdzał postępy reedukacji osób umieszczonych w ośrodku.

W grupie ludzi przebywających w ośrodku znajdą się tylko recydywiści. Wśród nich osobnicy z różnymi anomaliami psychicznymi, których przede wszystkim trzeba będzie leczyć, zamiast stosować wobec nich środki karne. Osoby zaś normalne, lecz o wyraźnie antyspołecznym nastawieniu, będą miały perspektywę pięcioletniego pobytu w ośrodku, skąd ucieczka grozi taką samą karą, jak za opuszczenie zakładu karnego. Ośrodek przystosowania społecznego nie jest wszelako żadnym „obozem pracy" dla przestępców, lecz obok celów wychowawczych ma za zadanie chronić społeczeństwo przed skutkami przestępczości. Celem tej „kary" i jej wykonania jest takie przekształcenie skazanego i takie wpłynięcie na niego, ażeby więcej do przestępstwa i do zakładu karnego nie wrócił.

Sprawa ośrodków przystosowania społecznego jest fragmentem szerokiej tendencji naszego ustawodawstwa, by kara miała „rzeczywisty" charakter wychowawczy. Wydaje się celowe nadmienić, że nowe ustawodawstwo w pewnych przypadkach ogranicza stosowanie „tradycyjnej" kary pozbawienia wolności, wprowadzając np. warunkowe umorzenie postępowania karnego, karę ograniczenia wolności, instytucję poręki itp. Tendencja ta przejawia się we wszystkich prawie nowszych ustawodawstwach karnych państw socjalistycznych. Międzynarodowe Sympozjum w Warnie (1967 r.), poświęcone stosowaniu środków nie związanych z pozbawieniem wolności, wykazało, iż notuje się obecnie w wielu krajach europejskich (w tym także i socjalistycznych) kryzys w nadmiernym stosowaniu i wykonaniu kar pozbawienia wolności. Ten „kryzys" szczególnie przejawia się wobec przestępców przypadkowych, bądź sprawców przestępstw drobniejszych.

Dlatego też jeśli mówimy o swoistym przedłużaniu kary pozbawienia wolności w formie pobytu recydywistów we wspomnianych ośrodkach, to w kontekście równoczesnego złagodzenia w stosowaniu izolacji wobec drobniejszych przestępców oznacza to, że istotnie tendencje wychowawcze prowadzą u nas do ograniczenia „tradycyjnej" kary pozbawienia wolności.

Pompowanie pisarzy

Zostań czytelnikiem

Maciej Podgórski

WYPADAŁOBY „generalnie zbilansować dyskusję", jaką wywołał mój prowokacyjny artykuł o „pompowaniu pisarzy". Nie zamierzam „generalnie zbilansować dyskusji", jaką wywołał mój prowokacyjny artykuł o „pompowaniu pisarzy", ponieważ jeszcze raz chcę wyrazić osobiste swoje zdanie, niekoniecznie zaś pogląd mojej redakcji. Nie będę też wdawał się nadmiernie w szczegółowe riposty, za co swych adwersarzy z góry proszę o wyrozumiałość. Na wszelki jednak wypadek dodam tylko, że gdyby Bogdan Madej miał ochotę zostać kucharzem literackim znacznie od mojej skromnej osoby doskonalszym, umiejącym dla przykładu sporządzić sto potraw publikacyjnych z jednego śledzia poetyckiego, to ja się natychmiast w cień usuwam albo w niebyt rozpadam. Nic bowiem nie leży mi na redaktorskim sercu bardziej niż poprawa doli, a raczej — jak wynikałoby z dyskusji — niedoli młodych pisarzy, za wyraz której to konstruktywnej postawy ośmielam się poczytywać swe prace i redaktorskie wysiłki w niniejszym czasopiśmie. Ale pomińmy osobiste rozczulenia.

Artykuł ten rozumiem jako otwartą głosę, wychodzącą od motywów całej polemiki. Przyjmuję więc do wiadomości oczywisty zresztą od początku fakt, że powód znacznego w naszym kraju wzrostu liczby potencjalnych kandydatów na pisarzy czy w ogóle na twórców rozmaitego autoramentu, usiłujących torować sobie drogę do publikacji, spoczywa w kulturowym awansie społeczeństwa, a równocześnie w związanej z tym, powszechnej i właściwej człowiekowi, chęci wyzwolenia się z anonimowości własnego losu. Że o tym nie napisałem? Nie napisałem też o wielu innych sprawach. I doprawdy nie widzę sensu w atakowaniu mnie za to, iż czegoś nie napisałem, szczególnie gdy idzie o kwestie ewidentne.

Rzecz bowiem nie w oczywistych powodach znacznego wzrostu liczby osób usiłujących parać się literaturą, rzecz natomiast we właściwej kanalizacji zjawiska, w rozumnym zaspokajaniu rozbudzonych potrzeb kulturalnych. Jak poświadcza Czernik w „Trzech podróżach" — Chińczycy chcieli kiedyś, by cały naród pisał wiersze i niemal cały naród wiersze pisał, uważając je za rzetelną poezję. Choć w moim mniemaniu ogromna część tej produkcji faktycznie poezją być nie mogła, a była raczej szkodliwą stratą drogocennego czasu. Tak samo trudno sobie nawet wyobrazić, aby efekty szerszej społecznie i zarazem twórczo-artystycznej aktywności (nie tylko zresztą ludzi młodych), wynikającej z awansu kulturalnego, posiadały u nas obiektywny sprawdzian w równie masowym powstawaniu rzeczywistych walorów literackich czy rodzeniu się talentów. Inaczej mielibyśmy już literaturę absolutnie znakomitą i niepotrzebne by były żadne dyskusje. Droga do prawdziwej kultury nie wiedzie przez podsycanie subiektywnych, fałszywych ambicji. Nie wiedzie też przez masowe, niejako administracyjne, choć na niższych szczeblach, organizowanie ruchów i grup artystycznych. Ktoś przecież musi być odbiorcą, a inny — twórcą. Zostać mądrym czytelnikiem jest tak samo trudno, jak zostać mądrym pisarzem. Powtarzam — chodziłoby o właściwą kanalizację zjawiska rozbudzonych potrzeb kulturalnych.

Tymczasem u nas o wiele łatwiej wyprodukować bardzo marnego poetę, niż wychować wrażliwego czytelnika współczesnej literatury. Weźmy choćby szkołę czy studia humanistyczne. Jeśli maturzystka czy zaawansowana studentka filologii pisują wiersze pod Konopnicką lub pod Tuwima, prozę pod pozytywistów, a pisują często, znaczy, że kompetentni w materii literackiej opiekunowie nie nauczyli ich rozumienia nowszej twórczości, bo inaczej młódź, skoro już musi, pisywałaby przynajmniej pod Różewicza lub Konwickiego, co zresztą też nie byłoby całkiem dobrze, ale to inna sprawa. W każdym razie widać, iż bardziej dba się, żeby młódź pisywała cokolwiek poetycznego, aniżeli by miała nowocześnie ukształtowaną receptywną świadomość artystyczną. Iluż później dałoby się uniknąć poetów od siedmiu boleści, gdyby było odwrotnie i gdyby zainteresowania literackie młodych puścić od początku innym torem oraz stworzyć im nieco inne następnie warunki? Niebawem się okaże, iż wiążą się z tym społeczne kwestie serio, lecz nie idzie wcale o to, by uczniom, studentom czy komukolwiek zabraniać twórczości własnej. Skądże znowu!

T. Kłak powiada, że „przedwojenne szkolne pisemka były wylęgarnią przyszłych poetów i prozaików" i wymienia rozmaite znane dziś nazwiska. Ale to żaden argument, bo ja się pytam, jaka była dalsza droga owych pisarzy, która doprowadziła ich choćby do cienia sławy międzywojennej, oraz jak wielu ich kolegów zostało znanych tylko na łamach rzeczonych pisemek i słusznie? O ile wiem, gdy się przed wojną chciało założyć grupę poetycką i podeprzeć ją własnym czasopismem, czy choćby chciało się tylko wydać swój tomik, wtedy często — nie mówiąc już o braku nadziei na honorarium — sięgało się do własnej kieszeni, aby rzecz sfinalizować. Historia „Kameny" co nieco nas w tym względzie poucza. I to wcale nie były przypadki odosobnione. Nawet jeśli komuś na własnej poezji autentycznie zależało i jeśli równocześnie ten ktoś posiadał szczery talent, droga na oficjalny rynek wydawniczy nie była kwieciem usłana. Literaci minimalnego kalibru albo musieli liczyć na własną kiesę, albo odpadali w przedbiegach. Rodzaj naturalnej selekcji.

Nie chcę być tanim demagogiem, w dodatku tęsknie zerkającym ku czasom międzywojennym. Cóż za nonsens! Lecz ośmielam się twierdzić, że dzisiaj możliwości owej koniecznej naturalnej selekcji są po prostu za małe. Ze szkodą dla literatury przede wszystkim, acz nie tylko i aczkolwiek w odniesieniu do współczesności poruszam się i jeszcze jakiś czas będę się poruszał właściwie na gruncie przedliterackim, gdyby termin „literatura" traktować na serio. Wszakże to, o czym mówię, nie jest jedynie odgłosem garów kuchni redakcyjnej, lecz zbliża się chyba do kwestii społecznej, która nabrzmiała do rozstrzygnięcia, nie tyle jednak na płaszczyźnie podłoża kulturowego, ile w obrębie możliwości sterowania kulturalnymi efektami.

Chcą zatem ludzie masowo pisywać wiersze, poematy i opowieści — niech pisują. Ale też niech odpowiednio wcześniej nastąpi publikacyjna selekcja, a nie demoralizujące ułatwienia w tym względzie. Gdy ktoś się upiera przy swej byle jakiej twórczości, niech już lepiej zabawi się jak sławetny w Warszawie Partum, który własnym sumptem i sprytem sfabrykował własny tomik, aby go później prywatnie kolportować, niech lepiej tak się zabawi, niżby miał znaleźć dobrotliwych mecenasów społecznych dla swej kulawej muzy. Dziś bowiem, jeśli się uczeń para pisarstwem, natychmiast mu w sukurs spieszą otwarte szeroko łamy „Filipinek" czy „Radarów". Jeśli się urzędnik lub ktokolwiek inny para pisarstwem w sukurs mu spieszą przeróżne kluby literackie i kółka twórczości własnej, działające przy najróżniejszych instytucjach i organizacjach, spieszą rozmaite towarzystwa regionalne na szczeblach powiatów. Potrafią one wynaleźć społeczne pieniążki na papier, dogadują się z oficynami i produkują almanachy, witryny, tomiki — stosy literackiej makulatury. Obecnie nikt do własnej manii artystycznej nie chce dopłacać, skoro można ją realizować i realizuje się za pomocą państwowego grosza. Po części wynika to z faktu, że słuszna polityka decentralizacji zarządzania kulturą czasem przemienia się w praktyce terenowych działaczy w niezdrowe zaspokajanie wąskich, partykularnych ambicji, co w końcu zdaje się być nową formą niewłaściwego administrowania w dziedzinie kultury.

Udział w masowym pomnażaniu pozornych bytów artystycznych mają też regonialne wydawnictwa, periodyki społeczno-kulturalne (niestety) oraz ogólnopolskie stowarzyszenia twórcze amatorów, posiadające swe wojewódzkie oddziały. Cóż to za patriotyzm lokalny musiał zadziałać, gdy miejscowemu poecie wydaje się tomik, w którym m. in. jakaś „stara omega" robi autorowi „cyt — cyt — cyt"!? A czy Stowarzyszenie Twórców Ludowych nie biedzi się dotąd nad możliwością nieprzyjmowania w swe szeregi młodych poetów, którzy pod płaszczykiem stylizacji ludowej przemycają zwykłą miernotę literacką? Tylko co uczynić z już kanonizowanymi członkami STL-u, jeśli kwalifikują się do tej kategorii i jeśli — z drugiej strony — STL patronuje całej serii wydawniczej? W sumie — błędne koło, szczelnie zazębiający się łańcuszek nieporozumień. Periodyki zaś terenowe, dodatki kulturalne do pism codziennych stanowią jedno z ogniw tego łańcuszka. Jakąś młodą literaturę należy drukować, po to się m.in. istnieje. Cóż, kiedy wybierać trzeba przede wszystkim w twórczości miałkich wielopisów rozmaitego gatunku, bo tej najwięcej w szufladzie, a i działają presje w rodzaju: ja drukowałem w almanachu poważnej organizacji, ja mam tomik w tutejszym wydawnictwie, pan ma obowiązek drukować miejscowych pisarzy etc. W tym kontekście mowa o „winie redaktorów", o „umieszczeniu wiersza w piśmie jako obowiązku wobec kultury", „o kosztach własnych" — co tak pięknie wywodził Kłak — zakrawa, po części przynajmniej, na żałosną parodię. Po części, gdyż wśród tekstów, jakimi się dysponuje, czasem bywają i takie (miejscowych lub „obcych" młodych pisarzy), które wydrukowałoby się z dość czystym sumieniem i które się z czystym sumieniem przepuszcza do druku.

W ten sposób dotarłem do sprawy, być może, najważniejszej — statusu i możliwości młodego autora, którego chciałoby się traktować poważnie. I przy tej kwestii zostanę. Wpierw jednak parę prowizorycznych wniosków.

Nikt mnie nie przekona, że możliwości publikowania młodej literatury są w Polsce niewielkie („literatury" — w sensie szerokim, niezależnie od jej wartości). Są, powiedziałbym, zbyt duże! Stąd wypływa małe cwaniactwo małych poetników, korzystających z przesadnego rozbudowania form organizacyjnych przeznaczonych dla ruchu młodoliterackiego, o czym pisałem w „Pompowaniu pisarzy". Stąd wielkomiejskie środowiska taniej cyganerii, niech będzie, że marginalne, jak chce Leszin, ale gdyby je tak zsumować? Stąd możliwości tzw. strat moralnych, zawiedzenia ludzkich fałszywych ambicji, możliwości podejmowania nieprzemyślanych na dłuższą metę decyzji życiowych. Stąd społeczna dezinformacja w zakresie kształtu i celów literatury współczesnej, co przy ogólnie słabej i niefachowej popularyzacji osiągnięć sztuki XX wieku tworzy u nas tu i ówdzie kulturalne zaścianki. Stąd wreszcie totalna dewaluacja słowa artystycznego, skoro publikuje się poetów, których płody w ogóle nie powinny oglądać światła.

Startujący w tej sytuacji młody uczciwy pisarz z jakim takim talentem napotyka warunki, kiedy rzetelny wysiłek twórczy, odpowiedzialność za słowo lub coś w rodzaju ideowej żarliwości po prostu nie popłaca, gdyż nikogo w końcu za bardzo nie obchodzi, co się drukuje, byleby się drukowało. Nie powiem, żeby takie warunki sprzyjały mobilizacji wewnętrznej, zwykłej chęci rozwijania się u jednostek posiadających nawet tę możliwość. Tu chyba ma częściowo źródło pokusa profesjonalizacji, nie tyle w sensie utrzymywania się z literatury, ile w sensie uzyskania oficjalnego miana literata. Skoro drukuje amatorskie bzdury co drugi student czy co drugi urzędnik, niech ja przynajmniej nazywam się członkiem zawodowego klanu twórców, do tego powinienem zmierzać, wstydliwie ukrywając zasadnicze źródło dochodu. Skoro co drugi urzędnik czy co drugi student drukuje bzdury na głuchej prowincji, ja powinienem dążyć do publikacji w Warszawie, a już w Krakowie najmniej, albo tam się starać w ogóle zaczepić. Dlatego mieszkając nawet w Lublinie, trzeba sukcesywnie rezygnować ze współpracy z „Kameną", dostarczając coraz gorszych tekstów, a lepsze śląc do pism centralnych, by należycie przygotować grunt dla późniejszych przenosin własnej osoby. Takie to mogą być mechanizmy psychiczne, z gruntu obłędne, aczkolwiek po części uzasadnione.

Pyta Tadeusz Kłak, obrońca młodzieży literackiej: „ilu to młodych w ciągu ostatnich piętnastu lat otrzymało w tym mieście (Lublinie) stypendia, ilu schowało do kieszeni legitymacje ZLP..." itd.? Odpowiada Maciej Podgórski, zacięty wróg młodzieży literackiej: nie wiem, pewnie niewielu, mogę natomiast wymienić z nazwiska paru młodych, którzy po prostu stąd uciekli, nie bez pożytku dla siebie. Nie na darmo 60 proc. członków ZLP mieszka w stolicy. Tylko że nawet pobyt w Warszawie nie zawsze ratuje przed więdnięciem talentu, przed produkcją tuzinkowej, ale tzw. ambitnej literatury, a w efekcie przed produkcją małych pisarzy. I niech mi Kłak nie tłumaczy, że bez małych pisarzy nie ma pisarzy wielkich. Bo wielkich pisarzy nie ma przede wszystkim wskutek nawałnicy zdewaluowanych ułatwień publikacyjnych, nie ma w sytuacji dopuszczającej minimalne tylko koszta wewnętrzne, jakie się ponosi, tworząc literaturę.

To jednak dopiero wniosek wstępny i częściowy. Gdyż jeśli nawet można się zgodzić z A. K. Waśkiewiczem i innymi dyskutantami z „Kultury" warszawskiej, że młodzi zdolni twórcy więdną dlatego, iż są ofiarami szerszej, lecz już chyba, jak sądzę, dogorywającej, sytuacji w naszym życiu społecznym, faworyzującej minimalizm i święty spokój, to nie wolno się zgodzić, że ratunkiem będzie m. in. stworzenie pisma młodych oraz cieplarnianych warunków dla rozwoju ich bogoburczych inicjatyw i samodzielności, a także odpowiedzialności. W pismo można się bawić nieskończenie. Moja dwuletnia córka też może zechcieć własnego pisma w przyszłości. Nowy kanał publikacyjny powiększyłby dziś jeszcze chaos i przez sam fakt swego istnienia nic by nie załatwił. Gdyby rozumować dialektycznie — młodzi pisarze są nie tylko produktem, ale i współtwórcami nieprawidłowej sytuacji społecznej, jeśli nie usiłują jej przekroczyć i zmienić.

Czy poza skargami na brak pisma, na krytykę, zły rozdział stypendiów ZLP i — o zgrozo! — na brak miejsca dla publikacji młodzi pisarze wyczerpali już wszystkie legalne potencje, by otworzyć sobie rozsądną drogę do polemiki, ruchu myśli, „atakowania centralnych problemów" naszej rzeczywistości? Czy niechęć do atakowania owych to „centralnych problemów" nie wypływa przypadkiem bardziej z dość świadomej, acz przekornej postawy, niż ze smutnych konieczności zewnętrznych? To byłby temat do długofalowej publicznej rozmowy zainteresowanych. Póki co, proponuję wybitnie zaostrzyć kryteria publikacji tekstów literackich, żeby moment koniecznego ryzyka druku nie przekraczał granic zdrowego rozsądku.

X-lecie Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego

Komentarz do jubileuszu

TOWARZYSTWO Regionalne Hrubieszowskie powstało w okolicznościach wcale nie wyjątkowych, jako jeszcze jeden przejaw aktywizacji społeczno-kulturalnej środowisk niewielkich, powiatowych, do połowy lat pięćdziesiątych nieco zaniedbywanych, uwikłanych bez reszty w szarawą na ogół codzienność spraw najbardziej elementarnych dla każdej zbiorowości, pozbawionej takich choćby perspektyw, jakie otwiera obecność nowoczesnego przemysłu. Żył Hrubieszów po trosze staszicowską legendą, która, prawdę mówiąc, zacierała się już w zbiorowej świadomości, zaspokajał swe potrzeby wyższego rzędu w jedynym kinie, bo ani domu kultury, ani muzeum, ani innych podobnych przybytków nie posiadał. A rocznicowe okazje przypominały, że w mieście urodził się przecie sam Bolesław Prus, że Stanisław Staszic tu właśnie wcielił w życie swoją wielką ideę rolniczej kooperatywy, że działał poeta Stanisław Ciesielczuk, a w pobliskim Malkowie podczas ostatniej wojny partyzanci wydali Niemcom wielką bitwę. Fakty te — oddzielone od siebie latami, a w wielu wypadkach bliżej nie oświetlone — nie układały się jednak w system na tyle mocny, aby opanować społeczną wyobraźnię, stać się historycznym podłożem współczesnego działania. Może nawet doszłoby do tego, gdyby nie poplątane drogi mieszkańców powiatu, którymi przyszło im w latach powojennych szukać własnego miejsca na czarnoziemnym obszarze. Różnice narodowościowe, a i wyznaniowe także, na pewno nie sprzyjały procesom integracyjnym; na pewno utrudniały wspólne działanie społeczne, oparte na jednorodnym fundamencie kulturowym chociażby. Oczywiście, spajała tę zbiorowość zarówno ideologia socjalistyczna, jak i nowe stosunki gospodarcze, ale był to proces długotrwały i nie pozbawiony konfliktów.

Kiedy więc 15 grudnia 1960 roku powstało Towarzystwo, zasadniczym celem jego działania okazała się właśnie owa integracja, możliwa do osiągnięcia — założyciele TRH zdawali sobie z tego sprawę — przez zbliżenie do ludzi historii regionu i stwarzanie faktów bezpośrednio dynamizujących współczesne życie społeczno-kulturalne. Jeśli więc Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie powstało w okolicznościach wcale nie wyjątkowych w skali ogólnokrajowej — w roku 1960 ruch regionalny już okrzepł i mniej lub bardziej trafnie sprecyzował swoje zadania — to przecież program TRH obiecywał poczynania nieprzeciętne, silnie sprzężone z wymogami aktualnej sytuacji miasta i powiatu.

Pierwszy walny zjazd TRH odbył się 28 kwietnia 1961 r., wzięło w nim udział 113 osób, przede wszystkim nauczycieli. Po dziesięciu latach istnienia Towarzystwo liczy dziś blisko 1100 członków, z czego 984 to nauczyciele, co plasuje je zdecydowanie na pierwszym miejscu listy stowarzyszeń społeczno-kulturalnych na Lubelszczyźnie, a może i w Polsce. Nawet znając wielostronność angażowania się nauczycieli we wszelkie poczynania o charakterze społecznym, szczególnie w miastach niewielkich oraz na wsi, wobec takiej statystyki nie sposób oprzeć się zaskoczeniu. Nie sposób też nie zapytać o treść i formy uczestnictwa tej wielkiej liczby członków w pracach Towarzystwa, albowiem nasuwa się podejrzenie, że jest to udział niejako statystyczny.

Odpowiedzmy od razu: skuteczna działalność TRH byłaby niemożliwa bez organizacyjnej i finansowej pomocy tej licznej zbiorowości. Nauczyciele wygłaszają pogadanki tematycznie związane z powiatem hrubieszowskim, uczestniczą w organizacji „dni" poszczególnych miejscowości, zbierają dokumenty z dziejów regionu. Zauważyć też wypada, że Towarzystwo utrzymuje się włącznie ze składek członkowskich, nie wspomagają go najmniejsze dotacje! Co nie przeszkadza mu działać sensowniej od niejednego stowarzyszenia lubelskiego, szczodrze zaopatrywanego z państwowej klęsy.

Z okazji VIII, jubileuszowego zjazdu TRH, który odbył się w październiku, Towarzystwo wydało książkowy zarys dotychczasowej działalności, który zawiera szczegółowy wykaz jego dokonań. Do publikacji tej warto odesłać zainteresowanych nie tylko pracami samego TRH, ale również całokształtem społeczno-kulturalnego ruchu regionalnego, albowiem mieści ona sporo rozwiązań niemal wzorcowych, które można spożytkować w innych warunkach. Wspomnijmy tylko, że to właśnie Towarzystwo, którego prezesem ponownie wybrano Wincentego Piątaka, doprowadziło do powstania muzeum w Hrubieszowie i kilku „izb pamiątek", przez cały okres swego istnienia na bieżąco rejestrowało i dokumentowało rozwój Hrubieszowszczyzny, prowadząc m. in. archiwum i wydając periodyczny „Biuletyn TRH", zebrało pokaźną bibliotekę prac dotyczących powiatu hrubieszowskiego, ułatwiło studentom pisanie prac dyplomowych, związanych z lokalną problematykę, zorganizowało dwa plenery plastyczne, współdziałało w wydaniu dzieł poetyckich Stanisława Ciesielczuka... Nietrudno spostrzec, że wszystkie te poczynania zmierzały do wspólnego, nadrzędnego celu istnienia TRH, jakim jest integracja hrubieszowskiego społeczeństwa. Natomiast powołanie sekcji zamiejscowych TRH w Warszawie i Lublinie miało również na uwadze pozyskanie sprzymierzeńców dla sprawy aktywizacji gospodarczej powiatu, która w przyszłościowym działaniu Towarzystwa ma zresztą otrzymać więcej, niż dotąd, miejsca...

Od kilku lat Towarzystwo zbiera środki na wzniesienie pomnika Bolesława Prusa, lecz — niestety — do przewidzianej sumy brak jeszcze ok. 300 000 zł, a tymczasem kamieniołomy śląskie już przygotowują granit, autor pracuje nad projektem w skali 1 : 1, jeszcze tej jesieni trzeba zlecić wykonanie fundamentów pod monument. Jeśli więc nie zwiększą się comiesięczne wpływy na ten cel — ok. cztery tysiące złotych — to finalizowanie całej sprawy może jeszcze potrwać pięć lub sześć lat. Kończymy więc ten komentarz do jubileuszu Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, instytucji prężnej i dla regionu już niewątpliwie zasłużonej, lecz niezbyt w końcu zamożnej, apelem do instytucji, zakładów pracy i indywidualnych czytelników naszego pisma: w miarę swoich możliwości dołóżcie co nieco do społecznej sprawy. Budowa pomnika wielkiego pisarza w jego rodzinnym mieście jest przedsięwzięciem całkowicie uzasadnionym, potrzebnym i z oczywistych względów wartościowym.

Tadeusz Graba

Kamena str. 4

Stanisława Trzop

Aleksander Lewczuk

Genowefa Gomułka

20-lecie „Ruchu"

Twarze z kiosków

Przedsiębiorstwo Upowszechniania Książki i Prasy „Ruch" też doczekało się jubileuszu: święci 20-lecie swego powstania. Z tej okazji zaprosiliśmy wspólnie z dyrekcją lubelskiego „Ruchu" kilku zasłużonych sprzedawców, którzy w bezpośredniej rozmowie podzielili się wrażeniami ze swojej pracy.

Stanisława Trzop

— Prowadzę w Chełmie kiosk nr 9 przy ul. Mickiewicza. Pracuję jako sprzedawczyni od 1932 roku. Kiosk zbudowałam sama, na własny koszt, w latach 1933—1934. Pomógł mi trochę ówczesny minister poczt i telegrafów, który właśnie przyjechał z wizytą do Chełma. Minister znał mego męża z okresu pierwszej wojny światowej. Podczas walk mąż został ranny, wyjęto mu płuco, nie był więc w pełni zdatny do pracy.

Pytacie, panowie, jak się pracowało? Na pewno inaczej niż dzisiaj. Ludzie tyle nie czytali, nadziały prasy były daleko niższe niż obecnie, największą popularnością cieszyły się różne „czerwoniaki" o sensacyjnej treści, jak woda szły „Buffallo Bille", „Lordy Listery", „Harry Dicksony", zeszyciki po 10 groszy za sztukę. Pomału zaczęłam sobie zdobywać stałą klientelę, przyzwyczajano się do mnie i do kiosku, który zresztą stoi w dobrym punkcie miasta. Później wybuchła wojna, nastały tragiczne dni, szalał hitlerowski terror, raz po raz słyszało się o nowych aresztowaniach. W jednej z takich akcji zabrano mego brata. Bratowa została z trojgiem małych dzieci. Co ja się nachodziłam, aby go uwolnić! Starałam się znaleźć odpowiednie znajomości wśród Niemców. Było mi o tyle łatwiej, że ciągle sprzedawałam w kiosku. Wśród klientów byli i Niemcy. Wreszcie się udało, brat wrócił, ale strasznie zmasakrowany.

Do mojego kiosku przychodzili Polacy pracujący w konspiracji. Raz przynieśli mi ulotki z napisem „Polska żyje", prosili, aby kolportować je wśród moich stałych klientów, do których miałam zaufanie. Kiedyś niespodziewanie wpadli do kiosku hitlerowcy, z trudem udało mi się zniszczyć tajne materiały. Innym znów razem zjawił się w kiosku ranny partyzant. Skontaktowałam się z aptekarzami i lekarzami, udzieliłam mu pomocy.

Z ulotkami miałam jeszcze inną przygodę, która mogła skończyć się tragicznie. Kupował u mnie stale jeden Niemiec, ale mówił on świetnie po polsku, trochę narzekał na Hitlera, myślałam, że to Polak i kiedyś dałam mu ulotkę. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy dowiedziałam się, kim jest ten człowiek. Wiedziałam, gdzie pracuje, poszłam do niego, błagając, by mi oddał ulotkę. Nie był taki zły, chociaż musiałam go przekupić litrem wódki i kilogramem boczku. Zwrócił mi, ale jeszcze przez pewien czas nie byłam pewna życia.

Kiedy w 1944 r. wyzwalano Chełm, zamknęłam się w kiosku. Słyszałam strzały, potem zapanowała cisza, wreszcie dobiegły mnie głosy w języku rosyjskim. To byli żołnierze radzieccy. Otworzyłam kiosk, wpadli do wnętrza, pytając, czy nie ma tu Niemców. Nie było. Tylko przed kioskiem jęczał jakiś hitlerowiec ciężko ranny. Obok niego dogorywał żołnierz radziecki. Dałam mu jeszcze wody nim skonał.

Minęło niewiele czasu, gdy w kiosku zjawiła się dziewczyna w radzieckim mundurze, dźwigająca sporą paczkę z gazetami. — Otwieraj kiosk — mówiła — i rozdawaj ludziom „Wolność".

To była pierwsza gazeta w języku polskim. Zaraz potem zjawiła się „Rzeczpospolita", później „Gazeta Lubelska", a jeszcze później „Sztandar Ludu". Chyba dłużej niż przez miesiąc co dwa dni jeździłam do Lublina po prasę, wykorzystując w tym celu różne okazje, pociągi przecież nie kursowały. Prasa nie była najświeższa, ale i tak w błyskawicznym tempie znikała z kiosków. Był wielki głód słowa drukowanego.

Potem wahałam się trochę, myślałam już, że mój kiosk przekształcę w kiosk spożywczy, ale prawdę mówiąc, żal mi było gazet. Sama przyzwyczaiłam się trochę do czytania, poza tym miałam stałych klientów. No i tak zostałam przy prasie do dzisiaj. Przecież to już niedługo będzie 40 lat tej pracy!

Wiecie, panowie, ciekawa rzecz. Ludzie zmieniają miejsce zamieszkania, przenoszą się do innych dzielnic miasta, ale nie przestają być moimi klientami. Nie wiem, czym to tłumaczyć. Jak mogę staram się o dobre zaopatrzenie mego kiosku, pilnuję, aby stali odbiorcy prasy mieli porządek w teczkach, by to, co zamówili, zawsze mogli u mnie dostać. Ale to często nie ode mnie zależy...

Aleksander Lewczuk

— Ja nie pracuję tak długo jak pani Trzop, chociaż kiosk nr 17 w Terespolu prowadzę od 1950 roku. W 1949 r. powróciłem z niemieckiej niewoli do Terespola. Przystąpiłem do pracy w „Hartwigu". Zawsze lubiłem czytać książki i gazety, ale do Terespola prasa nie docierała. Można ją było jedynie prenumerować. Do Białej nie tak daleko, ale ile razy mogłem tam być w miesiącu?

W Białej Podlaskiej jeden z moich znajomych prowadził kiosk. Poradził mi, żebym i ja spróbował. W Terespolu — mówił — żyje 6 tysięcy ludzi, na pewno będziesz miał klientów. Wahałem się nieco, bałem się trochę rzucać pracę, człowiek przywyczaja się do roboty, ale ostatecznie dałem się przekonać, zwłaszcza, że znalazłem chętną, panią Marię Tymoszczuk, która zgodziła się wspólnie ze mną pracować w kiosku. Zresztą początkowo **to nie był kiosk, ale... budka telefoniczna** o rozmiarach 1,2 m na 1,2 m. Ledwie można się było w środku pomieścić...

Na razie byłem zatrudniony na dwóch „etatach". Nie rzuciłem pracy w „Hartwigu". Rano siedziała w kiosku p. Tymoszczuk, po południu — ja. Ale to nie było łatwe. Prasę musieliśmy dowozić ze stacji kolejowej. A do stacji prawie kilometr. Jak dowozić? Konia czy samochodu nie miałem i nie mam. Dowoziłem rowerem. Na plecach miałem gazety, czasopisma. A po inny towar, różne kremy, pudry, papierosy, jeździłem do Białej.

Ostatecznie rzuciłem pracę w „Hartwigu". Ponieważ z zamiłowania jestem stolarzem, sam przystąpiłem do budowy kiosku. I kiosk, w którym do dzisiaj pracuję, powstał dzięki moim rękom.

Teraz już było trochę lepiej, męczyły tylko te dowozy prasy ze stacji. Szczególnie źle było w zimie, kiedy pociągi się spóźniały, trzeba było czekać, albo kilkakrotnie przyjeżdżać. I tak trwało to przez 19 lat!

Dziś w Terespolu są cztery kioski, prasę i różnego rodzaju towar dowożą mi na miejsce, można normalnie pracować. Wstaję wcześnie, kiosk otwieram już o piątej. Wówczas ludzie idą do pracy i często do mnie zaglądają. Zamykam kiosk o siódmej wieczorem. Później nie ma już klientów. A tych klientów też mam przeważnie stałych. Kto się do mego kiosku przyzwyczaił, ciągle do niego wraca.

Genowefa Gomułka

— Ja prowadzę kiosk nr 5 w Łukowie. Też długo, bo od 1948 roku. Miałam wówczas podobne problemy jak p. Lewczuk, też musiałam sama nosić prasę z dworca kolejowego. Sprzedaję sama, właściwie całe życie spędzam w kiosku. Proszę sobie wyobrazić, że dzisiaj jestem po raz drugi, dopiero po raz drugi, w Lublinie!

* * *

Dyrekcja lubelskiego „Ruchu" obwiozła gości samochodem po mieście, pokazała im nowe dzielnice. Samo spotkanie, zorganizowane w gabinecie dyr. mgr. Jana Naumiuka przy lampce wina, ciastkach i herbacie, minęło w niezwykle miłej atmosferze. Szkoda, że nie przyjechali wszyscy spośród zaproszonych. Ale 20-lecie przedsiębiorstwa trwa, okazja jeszcze się znajdzie. My ze swej strony składamy wszystkim pracownikom „Ruchu", zwłaszcza tym, z którymi przy kioskach spotykamy się na co dzień, którzy bezpośrednio propagują nasze pismo wśród czytelników, serdeczne życzenia i gratulacje. Pomyślności w pracy, w życiu osobistym. Dobrych klientów i dobrych obrotów. Sto lat!

Podziwiając Berliner Ensemble...

Maria Bechczyc-Rudnicka

Wiliam Szekspir — „Koriolan". Scena orszaku triumfalnego Koriolana; Helena Weigel (Wolumnia), Ekkehard Schall (Koriolan).

fot. V. Tenschert

OD pierwszej swej wizyty w Polsce, na początku lat pięćdziesiątych, cieszy się u nas Berliner Ensemble ogromną popularnością. Rzec by nawet można, iż proces unowocześnienia teatru Polski Ludowej rozpoczął się niejako kultem teorii Bertolta Brechta i szerokim zastosowaniem w praktyce różnych elementów jego sztuki inscenizacyjnej (zwłaszcza komentarzy syntetycznych w postaci songów). Toteż trzecie z kolei odwiedziny sławnego zespołu zostały powitane wręcz jako święto teatralne. Zainteresowanie było tym większe, że Berliner Ensemble zapowiedział pokaz swej inscenizacji „Koriolana", dramatu nie ustępującego w głębi najbardziej wziętym dziełom Szekspirowym, a granego rzadko wskutek właśnie trudności inscenizacyjnych.

Oczywiście Berliner Ensemble nie zawiódł oczekiwań, mimo dominującej w ostatnich latach mody na teatr absurdu, którego teatr Brechta, teatr konstruktywnej idei, jest zaprzeczeniem.

Spektakl „Koriolana" imponuje konsekwencją zamysłu inscenizacyjnego, inwencją w najdrobniejszym szczególe realizacji, absolutną precyzją wykonawczą.

Czy jest wierny Szekspirowi? Niekoniecznie.

Czy jest szekspirowski? Chyba tak.

Stwierdzenie — tylko pozornie paradoksalne.

Na czym polega tutaj niewierność? Powiedzmy wyraźnie: na swobodnym potraktowaniu sprawy zasadniczej — postaci Koriolana.

Otóż Brecht rozpoczął pracę nad adaptacją sztuki zaledwie w kilka lat po wojnie, która przyniosła narodom dwudziestego wieku niesłychanie tragiczne doświadczenia, wynikłe z przerostów władzy dyktatorskiej. Jest przeto rzeczą naturalną, że inscenizator — postępowy ideolog, jakim był par excellence Bertolt Brecht, że taki inscenizator szukając w „Koriolanie", dramacie politycznym, materiału do wcielenia wniosków wyciągniętych ze świeżych wydarzeń dziejowych — będzie świadomie naginał postać Szekspirowego herosa do swej myśli dydaktycznej.

Kiedy więc oglądamy „Koriolana" w adaptacji brechtowskiej, sprawa przedstawia się nam jasno i jednoznacznie. Pewien rzymski patrycjusz, bitny a niedojrzały politycznie, ulegający w znacznym stopniu wpływom władczej matki, przede wszystkim zaś własnej niepohamowanej pysze, po odniesieniu błyskotliwych zwycięstw na polu bitwy dąży do objęcia naczelnego urzędu konsula. Ponieważ jednak pomiata ludem, popada w ostry z nim konflikt i musi przegrać. Taką postać gra celnie znakomity aktor Ekkehard Schall, postawą zgoła nieheroiczną, raczej jakby zadziorną, nie budzącą ani na chwilę podziwu dla postaci, przywodząc na pamięć samodurstwo Hitlera, zwłaszcza w momentach ataku histerycznej furii.

Podanie widzowi prostej i niezaprzeczalnej prawdy, że jednostka nie zdoła trwale utrzymać władzy nad krajem działając na przekór woli ludu — było bezpośrednio po wojnie tym nowym odczytaniem klasyki, które wszyscy uważali za konieczne.

Dziś, po dalszych doświadczeniach historycznych, po dalszym przemyśleniu biegu historii, obiektywny czytelnik Szekspirowego „Koriolana" dostrzega w tytułowej postaci charakter bardziej złożony, budzący raz po raz szacunek, obawy, żal, współczucie. Szekspir bowiem pokazał nam wielkiego człowieka, którego doprowadza do upadku — d u m a i talent wojenny. Chyba najtrafniej charakteryzuje Koriolana jego wróg, wódz Wolsków, Aufidiusz, mówiąc:

Służył on zrazu zaszczytnie Rzymowi, / Ale nie umiał z jednostajnym zawsze / Umiarkowaniem piastować zaszczytów. / Czyli to była duma, nazbyt często / Pociągająca szczęśliwych za metę Danej im doli, czyli brak rozwagi / Sprawił, że nie wyzyskał możliwości, / Których był panem, czy wreszcie natura, która nie dając mu być tym, czym nie był, / Nie pozwoliła mu twardego hełmu / Złożyć na miękkim krześle i szeptała, / Że surowością równie dobrze można / W pokoju rządzić jak na wojnie... (IV, 7).

Kładę nacisk na wyraz „duma" w odróżnieniu od słowa „pycha". Czytając uważnie oryginał dramatu odnosi się wrażenie, iż Koriolan kandydował na stanowisko konsula bynajmniej nie dla marnych zaszczytów, tylko raczej na skutek nagabywań „matki-rzymianki" i za sugestią patrycjuszy, którym wygodnie było mieć na czele rządu „swego człowieka". W każdym razie demagogiczne ubieganie się o głosy było dla Koriolana zbyt wysoką ceną urzędu. Na samą myśl o schlebianiu tłumom — wybucha, a przy sposobności wypowiada myśl, której możemy szczerze przyklasnąć:

Przed tym i owym unikać się chłystkiem? / Zwyczaj chce tego. Gdyby nam we wszystkim/ Zwyczaj był normą, starożytne śmiecie / Pozostałyby nietknięte na świecie. / I takie góry błędów by powstały, / Że święta prawda już by tej zawały / Przebić nie mogła. Precz podła głupoto! / Kto dla godności gotów rzucać w błoto / Wewnętrzną godność, niech sobie zabierze / Ten cel upodleń... (II, 3).

Główną zaletą charakteru Koriolana jest odwaga. I nie tylko wojenna, lecz także c y w i l n a.

Nie był oportunistą. Ale oto osobliwa antynomia moralno-polityczna: nie być oportunistą czy to jest zaletą? Z punktu widzenia osobistej etyki na pewno tak. W polityce — nie (zresztą przypomnijmy sobie, że termin „oportunizm" w sensie pozytywnym, jako umiejętność polityka dostosowywania się do okoliczności, wynalazł republikanin i gorący patriota francuski Gambetta). Nie na darmo tenże bystry Aufidiusz, biorąc pod uwagę nieugiętość Koriolana jako cechę szlachetnej natury, powiada jeszcze:

Zasługi jego same się zabiły. / Tym że za bardzo wychodziły na wierzch.

Szekspir dokonuje w „Koriolanie" zdumiewająco wnikliwej analizy oddziaływania społeczności na wybitną jednostkę polityczną. Pokazuje on dosadnie, jak otoczenie samo wynosi wodza ponad siebie, jak się przyczynia do deformacji jego charakteru, jak skazuje potem z kolei na potępienie po wsze czasy.

Dramat Szekspira zawiera ostrą, jakże aktualną krytykę społeczną.

Koriolan przegrywa nie w walce z ludem, l u d u we właściwym znaczeniu tu nie widzimy, są raczej zakusy na ochlokrację. On przegrywa w narastającym konflikcie z c a ł y m otoczeniem, a na razie, ściślej mówiąc — przegrywa w sojuszu ze swym rywalem, Wolskiem Aufidiuszem. Gdyby d u m a Koriolana oraz jego szczęście u tłumów (choćby i zmiennych) nie zawadzały Aufidiuszowi w jego własnej karierze, mógłby Koriolan, po zawarciu dogodnego pokoju (jest o tym wzmianka w tekście), powrócić triumfalnie do Rzymu i tam rządzić, dopóki... dopóki nie stałoby się tak, że wypadałoby nam powtórzyć jak refren:

Zasługi jego same się zabiły...

Mimo rozbieżności, jaka zachodzi między założeniami ideowymi adaptacji Bertolta Brechta a bazą filozoficzno-polityczną dramatu Szekspira, spektakl Berliner Engemble jest — powtarzam powiedziane na wstępie — szekspirowski. Jest on iście po szekspirowsku epicki, monumentalny, ocala wiele wspaniałych fragmentów tekstu i jest po szekspirowsku... nowoczesny, odtwarza bowiem bez zmiany tok wydarzeń scenicznych pokazanych w licznych obrazach. I to szekspirowskie częstotliwe łamanie jedności miejsca wywołuje u widza analogię z filmem.

Może jeszcze płynniej przebiegałaby akcja, gdyby poszczególne obrazy oddzielało zaciemnienie, powiem jednak, że mnie osobiście częstotliwe „podfruwanie" małej białej kurtynki zupełnie nie przeszkadzało. Widzę nawet w tych chwilowych osłonięciach sceny niepoślednią funkcję artystyczną: pozwalały one lepiej wypunktować poszczególne obrazy i utrwalić je w pamięci widza (permanentne zaś odsłonięcie sceny staje się dziś coraz bardziej ogranym chwytem).

Przedstawienie obfituje w przepiękne momenty. Rewelacją są sceny batalistyczne. W przeciwieństwie do tych współczesnych inscenizatorów, co mają w pogardzie zaplecze techniczne teatru, Berliner Ensemble wykorzystuje wszystkie możliwości dzisiejszej mechaniki teatralnej. Oto np. bitwa pod Koriolami. Obroty sceny dają tu fenomenalny efekt. Na obrotach, przesuwając się, formują się dwa przeciwstawne szeregi wojowników, następuje zwarcie, walka wręcz, ludzie padają, ktoś biegnie po trupach (w tym momencie zrozumiałam, skąd się wzięły „oryginalne" sceny batalistyczne z „Henryka V" w teatrze łódzkim — tyle, że nie „obrotowe").

Nie mniejszą przysługę oddaje reżyserom ((Manfred Wekwerth, Joachim Tenschert) mechanizm obrotowy w scenie „zdobywania głosów". Koriolan, ciągle w ruchu, znalazł się nagle pośrodku licznych, ruchomych, charakterystycznych grupek plebejskich. Widz staje się świadkiem agitacji prowadzonej na wielką skalę.

Tu pora powiedzieć, że cuda te umożliwia przede wszystkim wspaniała scenografia Karla von Appen. Wolna przestrzeń sceniczna — biała „sfera" z jedynym wielkim akcentem lokalizującym akcję — z bramą miejską, białą dla Rzymu, ciemną dla obozu Wolsków. Tylko dla scen kameralnych wydziela się na proscenium niewielkie „wnętrze", ustawia się parę stołków, czy ławek, stolik, stojaki na broń...

Do bardzo mocnych scen aktorsko i sytuacyjnie należy też pojedynek (w stylu „japońskim") Koriolana z Aufidiuszem. Nawiasem mówiąc, historia pamięta analogiczną propozycję pojedynku wodzów w zastępstwie całych armii, uczynioną przez rycerskiego Franciszka I Karolowi V.

Pełna patosu jest scena triumfalnego wniesienia Marcjusza przez bramę rzymską po zwycięstwie pod Koriolami, które mu zdobyło przydomek Koriolana. Znakomita jest w tym momencie Helena Weigel — matka krocząca chełpliwie na czele orszaku. Wielką bohaterską scenę ma sławna aktorka w obozie Wolsków, gdy błaga syna o zmiłowanie się nad ojczystym miastem. Przejmująca jest jej gra także w scenie pożegnania wygnanego Koriolana.

W scenach intymnych, w domu Marcjusza, zapisuje się dobrze w pamięci łagodna, poetycka postać żony Koriolana, Wirgilii (Annemone Haase) i zabawna plotkareczka Waleria (Barbara Bery).

Nie sposób ocenić tu wszystkich ról i rólek, może w gruncie rzeczy i nie zachodzi taka konieczność, bo zespołowość gry jest doprowadzona w tym spektaklu do perfekcji. Specjalnej wzmianki wymaga jednak interesująca interpretacja roli Aufidiusza, którą gra Hans-Peter Reinecke tworząc wyrazistą postać wodza odważnego i dalekowzrocznego, tęgiego przeciwnika Koriolana. Odnotujmy też sukces Dietera Knaupa w wielkiej roli przyjaciela Koriolana, „dyplomaty" Meneniusza Agrippy. Do czołowych postaci dramatu należą oczywiście trybuni ludu: Brutus i Sycyniusz, warto jednak zauważyć, że potrzeba ich wyidealizowania przez skreślenie kwestii świadczących o metodach makiawelskich w dużym stopniu te postacie odbarwiła.

Silne wrażenie, jakie wywiera inscenizacja Berliner Ensemble, potęguje wspaniała muzyka Paula Dessau.

Słowem — dziękujemy za cudowny spektakl, prosimy o następny.

Kamena str. 5

Z notatnika kuracjusza

Tańce dietetyczne

Romuald Karaś

NA skierowaniu mam napisane: „P. P. Długopole-Uzdrowisko". Niby wszystko jasne, lecz nic z tego nie wynika: przyjeżdżam nocą, nie widzę żywej duszy; kogo tu o co zapytać, gdzie się udać?

Od szosy pnę się do okazałego budynku na wzgórzu. W świetle latarni odczytuję nazwę pawilonu: „Dąbrówka". Dzwonię. Czekam. Nikt nie podchodzi do zamkniętych drzwi. Kołaczę. Bezskutecznie.

Dźwigam walizkę i szukam szczęścia w domu FWP „Górnik". Jest portier. Radzi pójść do biura usług sanatorium — tam rozdzielają miejsca do poszczególnych pawilonów, ale w nocy nie urzędują.

Może szczęście dopisze mi w „Jagience"? Dzwonię uparcie. Wychodzi rozespana pielęgniarka. Powinienem pójść do „Mieszka", to wprawdzie dość daleko, ale tam lokują przyjeżdżających.

W „Mieszku" miejsc nie ma. Muszę wracać, skąd przyszedłem, lecz już nie do „Jagienki", a obok, do „Hanki".

Jakaś rusałka ziewając informuje:

— U nas mamy młodzież. Pan tu nie pasuje.

— Mnie tu jednak skierowano z „Mieszka".

— A skoro tak, to proszę iść do „Piasta", tam pana na pewno zakwaterują.

Okazały, trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły. Nie godzę się już na dalsze wędrówki. Żadna siła mnie stąd nie ruszy. Dostaję klucz do trzyosobowego pokoju. Pierwszy raz w życiu mogę się nazwać kuracjuszem.

Otwieram okno. Czuję, jak uderza fala świeżego powietrza. Słychać plusk wody. Doliną, obok pawilonu „Piast", płynie Bystrzyca Kłodzka. Gwiazdy mrugają na dobranoc.

* * *

Stereotyp stylistyczny podsuwa wytarty zwrot: budzą mnie pierwsze promienie słoneczne. Nieprawda: to warkot traktorów i samochodów przejeżdżających ulicą przerywa krótki sen.

Myję się. Ciepła i zimna woda. Teraz spostrzegam, że pokój jest urządzony przytulnie. Można czuć się jak w domu.

Wychodzę na spacer. Efektowna aleja utworzona ze smukłych lip i jaworów. Oko wodne z fontanną i kulawym domkiem dla łabędzi — ptaków nie ma, domek pochylił się po stracie nogi, która odpadła.

Pasma wzgórz porosłych lasem tamują wiatr. Dolina z pawilonami sanatoriów to azyl zastrzeżony dla ciszy i odprężenia. Gdyby tylko nie ten wciąż powtarzający się warkot motorów...

Ósma. Czas na śniadanie. Nim zasiądę przy wyznaczonym stoliku, zdołam przeczytać na tablicy ogłoszeń:

„Komisja Lekarska na posiedzeniu w dniu 1 lipca 1969 roku postanowiła wypisać karnie z sanatorium „Jagienka" ob. Jerzego Niedzielskiego za picie alkoholu z równoczesnym powiadomieniem instytucji kierującej".

Moja vis a vis przy stole wygląda jakby przed chwilą wyszła od kosmetyczki.

— Dyrektorowa Kleniewska jestem — przedstawia się.

— Karaś.

— Doprawdy, pan chyba żartuje...

Nie wiem, co ma na myśli, więc dla formy pytam:

— Pani pierwszy raz w sanatorium?

— Ależ skąd — osiemnasty!

Kelnerki roznoszą mleczną zupę. Dyrektorowa Kleniewska odsuwa z niechęcią talerz:

— To śmierć dla kobiety jeść od rana takie tuczące dania. Ach, to przeklęte Dziuropole. Już moja noga nigdy w nim nie postanie. Ta troskliwość mojego męża... Jak wszystko, co u mężczyzn, przesadzone... Czy pan nie mógłby zmienić sobie nazwiska na Karasiński? Mówiąc między nami, mój pan przed wojną nazywał się Kleń, ale to było zbyt prostackie i nie pasowało do stanowiska dyrektora, jakie zaczął pełnić po wyzwoleniu.

Do naszego stolika dosiadują dwaj moi współmieszkańcy. Jeden jest inżynierem pracującym w przemyśle tekstylnym, drugi — robotnikiem cukrowni.

— Z każdego turnusu kogoś wyrzucają za wódkę. Panowie muszą się bardzo pilnować — ostrzega.

* * *

Zebranie z lekarzem. Prosi o zaniechanie rozmów o chorobach. Za szczególnie groźną uznaje orgię leków, jaka zapanowała wśród kuracjuszy. Przypomina o umiarze i rozsądku, o potrzebie odprężenia psychicznego, kuracji spokojem i ciszą. Podnosi zalety mikroklimatu Długopola — tu naprawdę można regenerować siły.

— Dziuropole — tu i ówdzie słychać półszeptem powtarzane opinie o naszej miejscowości. Lansuje je spora grupa kuracjuszy, którzy — jak się domyślam — woleliby znaleźć się w modnym kurocie.

Głos zabiera olbrzymiego wzrostu mężczyzna, ubrany młodzieżowo i mimo przekraczającej pięćdziesiątki trzymający się najmłodszej generacji sanatoryjnych pacjentów, czy raczej pacjentek. Sugeruje, a właściwie chce narzucić potrzebę wyboru samorządu. Lekarz wyjaśnia, że tego się raczej nie praktykuje, gdyż tu nie są wczasy z masą wycieczek i imprez własnych.

— Panie doktorze, ale nam jest potrzebna rada turnusu. My mamy już kandydatów — ripostuje.

Olbrzymowi biją zorganizowane brawa. Jest zwycięski. Wymienia jakieś nazwiska. Turnus ma już starostę i starościnę.

Lekarz nie daje za wygraną. Przestrzega, że nie pozwoli wprowadzić innych porządków, niż obowiązujące. Dwudziestoczterodniowy okres kuracji należy w sposób właściwy wykorzystać. Nie ubawy, ale wypoczynek, higieniczny, spokojny tryb życia trzeba mieć na uwadze. Państwo, a właściwie każdy z nas, płaci na leczenie, więc tych pieniędzy nie należy trwonić, lecz wykorzystać tak, aby zdrowszym wrócić siły do pracy. Żadnych koniaków, żadnych wyjazdów na wycieczki samotne, żadnych zwariowanych tańców.

— Co, nawet tańców... — rozlegają się szmery niezadowolenia wśród zwolenników olbrzyma.

— Nasza orkiestra gra tańce regulaminowe, specjalnie przez nas ustalone. Chodzi o to, żeby jak najmniej zaszkodzić wątrobom. Pamiętajcie państwo, że można męża i żonę oszukać, ale nie wątrobę...

— Cóż, pozostają nam tylko tańce dietetyczne — wtrąciła dyrektorowa Kleniewska.

* * *

Na skraju parku, koło dużego przeszklonego budynku, w którym mieści się kawiarnia zdrojowa wraz z czytelnią, spotykam towarzysza niedoli z czasu pobytu w Klinice Chorób Zakaźnych w Lublinie. Obaj jesteśmy ofiarami medycyny. I Wiciakowi i mnie przy okazji dawania zastrzyków wstrzyknięto wirusa żółtaczki. Nie jesteśmy jakimiś wyjątkami. Kogo los skazał na dłuższy pobyt w szpitalu, ten narażony jest na zakażenie żółtaczką, gdyż stosowany system dezynfekcji bywa wprawdzie dość tani, ale przed wirusami nie chroni. W innych krajach po użyciu wyrzuca się strzykawkę, a u nas specjalnie wygotowuje.

Wiciak z zawodu jest elektrykiem. Takich, jak on, przyjeżdża do sanatorium około trzydziestu procent. Przeważa inteligencja. Chłopi prawie zupełnie nie leczą wirusowego zapalenia wątroby, choć chorują częściej niż inni. Zapewne nie potrafią się wystarać o sanatorium. Długopole przyjmuje rocznie niewiele ponad pięć tysięcy chorych, a taka liczba zachorowań jest tylko w jednym województwie lubelskim...

Elektryk jest moim cicerone. Spojrzawszy na zegarek stwierdza, iż powinniśmy napić się wody ze zdroju, gdyż lekarz zaleca jej spożywanie pół godziny przed jedzeniem.

Na betonowym tarasie siadamy przy stoliku osłoniętym kolorowym parasolem. Nie jesteśmy sami. Oto na ławce sadowi się trójka mężczyzn: jeden szpakowaty i dwu rudobrodych. Uważnie lustrują teren. Gdy na horyzoncie coś się pojawia, rzucają porozumiewawcze spojrzenia.

— Co to za jedni?

— Podrywacze z „Mieszka". Mają nawet samochód.

Rudobrody, ten utuczony jak niedźwiedź, powłóczystym spojrzeniem stara się zwrócić uwagę dziewczyny przy zdroju. Sposób okazuje się mało skuteczny, podchodzi więc, całuje w rękę nieznajomą, przedstawia się, przywołuje kolegów. Trwa akcja oswajania zdobyczy.

* * *

Czas w ciągu dnia wyznaczają w Długopolu posiłki. Jada się pięć razy. Po śniadaniu jest przekąska o godzinie jedenastej. O trzynastej obiad. Od czternastej do szesnastej odpoczynek poobiedni w łóżkach. Jak dzieciaków trzeba sprawdzać dorosłych, czy stosują się do tych zaleceń. O szesnastej — podkolacja, za dwie godziny — kolacja. Na tak regularne odżywianie nikt z chorych nie jest w stanie zdobyć się w domu. Przy menu przestrzega się indywidualnych diet, zgodnie z zaleceniami lekarzy. Cel jest jeden: dać odpocząć chorej wątrobie.

Jedzenie, obok chorób, bywa najczęstszym tematem rozmów. Chciałoby się po staropolsku popuszczać pasa, a tu dietka.

— Panie, oni nas tu morzą — użala się jakiś brzuchacz. — Zdrowy nogi wyciągnie, a co dopiero my, osłabieni po chorobie.

Ktoś inny:

— Ci, co piją, to są zdrowi. Służy im. Ja też uważam, że jeden koniaczek na wątrobę nie szkodzi. Można i trzy, ale wtedy na odtrutkę trzeba przekąsić rzepę ze śmietanką. Cudowny środek, polecam wszystkim cierpiącym.

Elektryk Wiciak zdążył mi już wyrobić markę opiekuna poezji polskiej z redakcyjnego ramienia i nie mogę uwolnić się od sanatoryjnych wieszczów. Oto gdy zasiadam do obiadu, poetessa czyta mi swój utwór, zrodzony w dietetycznym natchnieniu:

Wszystkie wątróbki zgodnym
rytmem biją
Gdy wśród talerzy ujrzą biel
twarogu
Więc każdy łyka swą
wysmukłą szyją
to, co przekazał nasz „Pierwszy
po Bogu".

* * *

Z „pierwszym po Bogu" w „Piaście" weszli niektórzy w konflikty. Starosta, wódz życia towarzyskiego, kończył przygotowania do wieczorku zapoznawczego, ale niepomny na to ordynator sprzeciwił się:

— Pana kładę do łóżka — nakazał po otrzymaniu wyników badań lekarskich.

Podobne „wyroki" zapadły w stosunku do innych zabawowiczów. Rozpoczęły się prośby i błagania. Olbrzym, inicjator wyboru władz samorządowych turnusu, usiłował zmontować opozycję. Chętni szybko się jednak wycofali z jego szeregów, kiedy ordynator przyłapał obłożnie chorego na wieczorku tanecznym i zdecydował, że sprawę przekaże Komisji Lekarskiej w celu karnego wypisania z sanatorium. Cały wysiłek skierowano na obronę kolegi, który podpadł.

* * *

Dyrektorowa Kleniewska z reguły wymienia drugie danie. Zawsze stawia zarzut, że mięso jest żylaste.

— Osiemnasty raz jestem już w sanatorium, ale w żadnym nie przydarzyło mi się takie traktowanie, jak w tym Dziuropolu.

Inżynier czyni uwagę:

— Pani to właściwie powinna odpocząć od tych sanatoriów.

Popiera go robotnik:

— Co za dużo, to niezdrowo.

Po tej rozmowie dyrektorowa Kleniewska tylko mnie toleruje przy stoliku, choć jeszcze nie zmieniłem nazwiska na Karasiński.

* * *

Mieszkańcy Długopola są niechętni, a nawet wrogo nastawieni do sanatorium pożółtaczkowego. Protestowali przeciwko jego zorganizowaniu w 1956 roku.

— Żółtki przyniosły nam tylko choroby — słyszę częste skargi.

Fakt: wypadki wirusowego zapalenia wątroby stały się teraz w okolicy dość częste. Mobilizuje to ludność do starań w sprawie przeniesienia sanatorium.

Przejrzałem materiały, jakie zgromadził i częściowo opracował pan Wacław Wieczorek. Rękopisy, sztychy, stare fotografie związane z Bad Langenau mówią o historii uzdrowiska. Zakład leczniczy powstał w 1802 roku. Leczono tu niedokrwistość, białaczkę, skrofulosę, rachitis, wyczerpanie nerwowe, rheumatismus, przypadki pourazowe, schorzenia kobiece i choroby serca. Sezon trwał tylko od maja do połowy października.

Zdecydowana rozbudowa uzdrowiska nastąpiła po wyzwoleniu. Założono kanalizację, wprowadzono centralne ogrzewanie, powstał wodociąg. W porównaniu z okresem przedwojennym kilkakrotnie zwiększono usługi sanatoryjne, wprowadzając nowe zabiegi. Kuracjusze korzystają z kąpieli mineralnych i natrysków (przy zaburzeniach układu krążenia), z zabiegów parafinowych (stany reumatyczne), z działu fizykoterapii, a niebawem z inhalacji. Szczawy alkaliczno-ziemne, żelaziste, hipotoniczne cieszą się uzasadnioną sławą.

Rzecznikiem rozwoju Długopola, tym, który widział walory uzdrowiskowe i klimatyczne, był wspomniany jego kronikarz. Może dlatego miejscowość była Wacławowi Wieczorkowi tak bliska, gdyż jako żołnierz walczył o jej wyzwolenie. Osiedlił się następnie tutaj, praco-

→

„Od ara płacę..."

Dokończenie ze str. 1

córka pracuje w dolnośląskich zakładach włókienniczych w Pilawie, najmłodszy syn studiuje na krakowskiej AGH. Z tych 18 ha 7 zajmuje plantacja buraków cukrowych. W sezonie Teofil H. musi zatrudniać 4—8 robotników, przeważnie kobiety. Płaci im od 100 do 150 złotych dziennie plus wyżywienie i miejsce noclegowe w stodole.

Oprócz nierozmownej Rozalki w gospodarstwie zastałem jeszcze inne kobiety.

Marianna ma lat 50, pochodzi z rzeszowskiego. Matka nieślubnego dziecka, którego ojciec, partyzant, zginął w 1943 r. nie zdążywszy dotrzymać danego narzeczonej słowa. „Bez to skrzywdzili mnie ojciec w destamencie, chałupe stare mnie tylko zapisali, a moje część — na spłaty". Starszy brat ją spłacił — wystarczyło na kształcenie syna, dziś inżyniera w Nowej Hucie. Syn, jak się ożenił, zabrał matkę do siebie, ale nie mogła jakoś dogadać się z synową i źle się czuła w mieście. „Józinek miesiąc w miesiąc bez pocztę dwie setków przysyła, ale ja nie taka stara, żeby tylo na niego się doglądać. Na wsi tera trudno o robotnika, a ja zdrowa jeszcze dzięki Bogu". Zarabia na czarną godzinę, na zabezpieczenie samotnej starości.

W przeciwieństwie do Marianny, Irena jest młodą dziewczyną. Nie skończyła powszechniaka, to zamknęło przed nią wszelkie możliwości. Z jedenaścioro rodzeństwa tylko dwojgu udało się przekroczyć opłotki biednej, na piaskach chudych przycupniętej wśród lasów wsi biłgorajskiej. Brat, Władek, pracuje w odlewni lubelskiej FSC, siostra Helenka, skończyła polonistykę na UW, została w Warszawie, wyszła za mąż za swojego asystenta. Pozostali siedzą w przeludnionym domu. Irena próbowała w Biłgoraju w zakładach włosiankarskich się zaczepić. Za duża była konkurencja, na jej miejsce były cztery chętne, w tym dwie dziewczyny po szkole zawodowej i jedna kuzynka prezesa. Więc urządziła się inaczej: latem wyrusza do powiatów: tomaszowskiego, zamojskiego, hrubieszowskiego, plewi buraki, pracuje na plantacjach konopi, tytoniu, a zimą „wraca" do Lublina, kupuje „Kurier" odwiedza adresy z rubryki ogłoszeń — wynajmuje się, najchętniej na ekskluzywnym LSM-ie, do pracy w charakterze pilnie zawsze poszukiwanej opieki nad dziećmi.

Sabina i Lodka bardzo są do siebie podobne — starzejące się panny po trzydziestce. Wyglądają o wiele starzej, brzydkie i bez szans: chłopców na wsi niewielu, do miasta uciekają, więc ci, co zostali na gospodarkach, mogą przebierać w dziewczynach niczym w ulęgałkach. Analogicznie jak Rozalka pracują na konto swej samotnej a odległej wszak jeszcze starości, analogicznie do niej cały niemal sezonowy zarobek lokują na książeczkach PKO. Lodka ma nawet samochodową, za dziewięć tysięcy. Książeczka ta stanowi przedmiot jej wielkiej dumy i cichej lecz niezachwianej nadziei: dziś chłopy na samochody pazerne, więc jakby pekaowski los się uśmiechnął... Lodka pochodzi z rzeszowskiego, Sabina z Lubelszczyzny, z włodawskiego. Od kilku lat trzymają się latem razem, przez całą zimę utrzymują staropanieńską korespondencję.

3.

Obejście Mariana W. prezentuje się okazale. wszystko murowane, pod blachą lub eternitem, rozległa dwudrzwiowa stodoła, w szopie nowy „Ursus" z całym osprzętowaniem, na podwórzu „Syrena". Marian W., kawaler, nie ma jeszcze trzydziestki, jest absolwentem technikum rolniczego i choć 10-hektarowe gospodarstwo „figuruje formalnie na nazwisko ojca", on nim faktycznie i niepodzielnie zawiaduje.

— ...Dziś rolnictwo się opłaca, ale z głową, bo jak ktoś nastawi się tylko na pszenicę, żyto, kartofle — nic nie zwojuje. Ja z hektara zbieram przeszło 450 kwintali buraków. To są już pieniądze.

Marian W. uprawia głównie rośliny przemysłowe: właśnie burak cukrowy, chmiel, konopie, rzepak, trochę tytoniu, nasiennej cebuli. Hodowlę owiec, bydła i bekonów opiera na kupowanych w GS mieszankach paszowych, kiszonkach i okopowych. Siano, w niewielkich zresztą ilościach — kupuje również (jedyny hektar łąki wyorał właśnie pod konopie). Młody gospodarz przekonująco dowodzi, że jest to struktura najbardziej ekonomiczna z możliwych, chociaż wymaga zatrudniania okresowo pięciu—ośmiu ludzi, zwłaszcza w czerwcu i lipcu (zabiegi pielęgnacyjne) oraz na przełomie września i października (zbiór).

— ...Robotnik na wsi jest coraz droższy. W ciągu roku wypłacam 200 do 220 dniówek po 125 złotych średnio. Siła robocza, wraz z wyżywieniem, zabiera co roku do 30 tysięcy. Ale i tak się opłaca. Jasne, tańsze byłyby dobre i sprawne wieloczynnościowe maszyny, w Związku Radzieckim takie mają, widziałem jak byłem na wycieczce ZMW. Za te 30 tysięcy kupiłbym raz i w następne lata byłby już czysty zysk. Ale u nas nie ma jeszcze maszyn dostatecznie sprawnych we wszystkich zabiegach, i do sprzętu. Na zboża są już względne, chociaż też grubo za mało, ale do buraków, tytoniu czy chmielu praktycznie w ogóle nie ma. Nawet zwykły traktor to luksus po prostu. Za swoim cztery lata żem jeździł i, mówiąc między nami, sporo więcej mnie kosztował...

— Kto przyjeżdża? Kobiety przeważnie, oczywiście wiejskie, choć zdarzają się miastowe. Najwięcej to chyba z takich powiatów jak Radzyń, Włodawa, Parczew, Biłgoraj, no i dużo z rzeszowskiego, trochę z białostockiego nawet. Przeważnie z okolic, gdzie jest słaba ziemia a dużo wsi, czyli że duże zagęszczenie stosunkowo.

4.

W czasie reporterskich podróży po wsiach powiatu tomaszowskiego, hrubieszowskiego i zamojskiego nie znalazłem, dosłownie, ani jednej wsi, w której nie byłoby przyjezdnych kobiet zatrudnionych przy najrozmaitszych pracach polowych. Podróże takie odbywałem dwukrotnie: na przełomie czerwca i lipca, i w drugiej połowie września. W sumie odwiedziłem 17 wsi.

Przedstawiciele lokalnych władz terenowych różnych szczebli nie

Kamena str. 6

wał jako ekonomista, a społecznie pełnił funkcję sekretarza komisji zdrojowej. Chociaż zmarł we Wrocławiu, życzeniem jego było spocząć w Długopolu.

* * *

Podrywacze z „Mieszka" pracowicie obskakiwali kobiety z naszego pawilonu. Kim oni nie byli... Kapitan żeglugi wielkiej, korespondent zagraniczny, attache handlowy, reżyser, konsul, doradca ministra — to tylko część stanowisk do jakich się przyznawali. Porzucone czy raczej wymienione panie tworzyły dość solidarny blok, pomstujący na trójcę byłych adoratorów. Choć propagandę siały głośną, nie przeszkadzała ona lowelasom w nowych sukcesach. Przeciwnie: stawali się atrakcyjniejsi.

Aura plotek towarzyszyła samochodowym wypadom podrywaczy. Zapewne było w tym wiele przesady, ale chyba i część prawdy.

— Jak taka jedna z drugą potrafi później spojrzeć mężowi w oczy? — pytał pewien starszy pan, rodem z Wołynia, w rozmowach ciągle wspominający ziemię rodzinną i epizody okupacyjne z głośnej obrony Przebraża.

Przedstawiciele starszego pokolenia propagowali w rozmowach powrót do szczególnej natury praktyk:

— Pasem taką, i to dobrze, a potem do roboty. Wtedy i głupota wywietrzeje!

* * *

Spacery po ładnym, choć zaniedbanym parku, czytanie książek, wypożyczanych z dość zasobnej biblioteki, pogawędki w kawiarni przy firmowej „Długopolance", dla niewielu amatorów pasjonujące partie szachów, powszechne kartograjstwo — oto codzienne punkty indywidualnego programu dnia. Dużo pożytecznych punktów uzupełniających wprowadzał dział kulturalno-oświatowy uzdrowiska. Przez niespełna miesiąc wielu z kuracjuszy korzystało z tylu rozrywek prawdziwie kulturalnych, że były one niejako wyrównaniem życiowego manka. Oprócz koncertów stałego zespołu muzycznego, każdego tygodnia odbywały się imprezy na wysokim poziomie artystycznym. Występowali artyści Teatru Wielkiego, śpiewał Ryszard Gruszczyński, gościły zespoły teatralne, grano dobre filmy, odbyło się kilka interesujących prelekcji...

Największe poruszenie wywołała jednak wiadomość o uzyskaniu zgody na wieczorek taneczny w kawiarni zdrojowej, której sale tańce zarezerwowano tylko dla kuracjuszy naszego pawilonu. Miał to być wieczorek zapoznawczy, ale ponieważ turnus zbliżał się już ku końcowi, nazwano go pożegnalnym.

Tańce były dość niezwykłe. Nadzorował je ordynator. Poszczególne kawałki, choć skoczne — zgodnie z zaleceniem lekarza — grano wolno. I dodatkowo — krótko. Przerwy natomiast trwały długo. Stoliki, choć zastawione, nie groziły wysokimi rachunkami. Sączono wodę mineralną, soki owocowe, popijano herbatkę, a nieliczni kawę. W zabawie obowiązywał dietetyczny rytuał.

Kaktus na kółkach

Dokończenie ze str. 1

lony ziemię orał, bronował, żyto siał, w dzień jutrzejszy nie bardzo spoglądając. Toteż odradzali sąsiedzi wyjazd, takie i owakie racje przedstawiając. Łoboda już to im słuszność przyznawał, już to argumenty za wyjazdem rozważał, a cały czas trwał w niepewności i napięciu. Wreszcie, aby się zbyć „ciężaru", machnął ręką: „co będzie to będzie", zebrał toboły, żywy inwentarz na pokład zasmolonego parowca wpędził i spłynął z nurtem rzeki do Puław. Skąd — przesiadłszy się do rozklekotanego wagonu towarowego — nie oparł się w podróży, aż we wsi Bolków w powiecie Białogard.

Dla średniego syna, dziesięcioletniego Stanisława, otworzył się teraz nowy świat. Rodzinna wioska leżała w zapadłym kącie Kielecczyzny. Jedynym większym miastem w okolicy było leżące za rzeką Opole Lubelskie. Tutaj tymczasem biegły przez pola szosy asfaltowe, we wsiach stały domy z cegły, na podwórkach, w szopach — maszyny rolnicze, o jakich się ludziom znad Wisły nie śniło, gdzieniegdzie trafił się i traktor, remontu wprawdzie wymagający — ale przecież maszyna jak sto koni! Ludzie też w Bolkowie byli inni. Przeważnie osadnicy wojskowi, obieżyświaty gdzieś znad Amuru i spod Monte Cassino, przyzwyczajeni do ciężkiej pracy, zarazem rzutcy, przedsiębiorczy, umiejący obydwiema garściami wycisnąć z życia wszystko, co najlepsze.

W takiej atmosferze zaczęła się też lawinowa reakcja w mentalności starych Łobodów, spychająca daleko w tył zastarzałe schematy myślowe, porywająca w wir życia, o jakim dotąd nawet nie mieli pojęcia. Jeśli tak było z rodzicami, to co dopiero mówić o dzieciach? Stanisław ani się obejrzał, jak skończył siódmą klasę i znalazł się w technikum mechanicznym w Białogardzie. Starszy brat już się od kilku lat za mechanika uczył, a i młodsze rodzeństwo myślało o pracy w fabrykach, o życiu w wielkim mieście. Aż dziwne, jak szybko w nowych warunkach tracili kontakt z ziemią, z którą tak nierozerwalnie — zdawałoby się — byli dotąd zrośnięci. Gdy rodzice — acz gospodarujący już w nowoczesny sposób, już myślący nowoczesnymi kategoriami — pozostali jednak chłopami wrośniętymi mocno w tę czy inną ziemię, oni w kilka lat zdołali jakby przeskoczyć kilka pokoleń.

W 1953 roku matka zaczęła coraz częściej zapadać na zdrowiu, lekarze orzekli, że nie służy jej tutejszy klimat, że musi wracać na nadwiślańskie piaski. Pojechał z rodzicami w powrotną podróż i Stanisław. Zdecydowano, że ktoś musi w przyszłości przejąć schedę po ojciu i wybór padł właśnie na Stanisława. Rzucił szkołę, miał przekwalifikować się na rolnika. Ale wkrótce okazało się, że zamiłowania do ziemi już w nim nie było. Coraz bardziej tęsknił do zawodu, którego tajniki zaczął niedawno poznawać w technikum. I tak się stało, że jak przed laty ojciec z całą rodziną, tak teraz on sam, ostatniego dnia sierpnia 1955 roku wsiadł na tenże zasmolony wiślany parowiec i popłynął do Puław. W wieku kilkunastu lat zadecydował ostatecznie jak sobie będzie układał życie. Zdążył się jeszcze zapisać do zasadniczej szkoły zawodowej, która kształciła ślusarzy maszynowych. Szkoła była dwuletnia, a że zaliczono mu okres nauki w technikum w Białogardzie, dostał się od razu do drugiej klasy i... już w lipcu 1956 roku, w gronie dziesięciu najlepszych uczniów, z dyplomem wykwalifikowanego robotnika w kieszeni — jechał do Lublina, do Fabryki Samochodów Ciężarowych, która właśnie zaczynała pracować pełną parą.

Stanisław Łoboda

Fot. Ryszard Turlewicz

Miał od tej chwili na najbliższych piętnaście lat związać się z tym zakładem, być jednym z niewielu, którzy mogą powiedzieć o sobie, że to przez ich ręce przeszło owe sto tysięcy „Żuków" — liczba zamykająca jeden z wielkich rozdziałów historii FSC.

Zaczynał jako ślusarz urządzeń z IV grupą zaszeregowania. Pracował w tej samej hali, w której dzisiaj prowadzi 164-osobowy oddział spawalni kabin. Tylko że wówczas produkowano tutaj „Lubliny", a on sam zaliczał się do najmłodszych i najmniej znaczących pracowników. Jak większość mu podobnych, mieszkał w zatłoczonym hotelu robotniczym, miał dziewczynę, z którą od czasu do czasu wybierał się do odległego — wówczas — miasta, żeby — jak się wtedy mówiło: „zażyć rozrywki kulturalnej", to znaczy obejrzeć film albo posłuchać „koncertów muzycznych" dawanych codziennie przez trzech starszych panów w kawiarni „Regionalna". Należał też do Związku Młodzieży Polskiej, którego zresztą był aktywistą jeszcze z lat szkolnych. Tymczasem fabryka rozbudowywała się. W 1957 r. rozpoczęła pracę wielka odlewnia, niemal równocześnie ruszyła kuźnia...

Okres niepewności co do dalszych losów fabryki ominął młodego ślusarza. Gdy toczyły się dyskusje na temat nowego typu samochodu, gdy dyrektor a wraz z nim cała załoga przemyśliwali, jak zasadzić ów legendarny kaktus na dłoni Zjednoczenia Przemysłu Motoryzacyjnego, Stanisław Łoboda odbywał służbę wojskową.

Ledwie zrzucił mundur, już prowadził swoją dziewczynę do ołtarza. Tym się różnił od innych, że nie zwykł włosa rozdzielać na czworo, deliberować, rozważać całymi dniami różne „za" i „przeciw". W niedzielę wyszedł z jednostki i tegoż dnia był już w Koszalińskiem. Na dworcu powitała go narzeczona, która w czasie służby wojskowej Stanisława przeniosła się na Ziemie Zachodnie. Stanęła kiedyś między nimi taka umowa, że ślub wezmą dopiero po jego wyjściu do cywila. „Co z nami?" — zapytała teraz. „Nie rozmyśliłeś się?". „Ja? Słowo się rzekło. Jak chcesz, możemy się żenić nawet jutro". W poniedziałek już byli małżeństwem.

Wrócili do Lublina, Stanisław Łoboda stawił się do pracy w FSC. Był rok 1959, właśnie ruszyła taśma z pierwszymi „Żukami". Zakład wydawał się jakby odmieniony. Na gwałt potrzebowano fachowców. Łoboda trafił tym razem do wydziału tłoczni, zaczął pracować bezpośrednio przy „Żuku". Przy maszynach widział wielu nowych, młodych, on już teraz zaliczał się do „starych" pracowników fabryki. Z dziesięciu absolwentów puławskiej szkoły zawodowej, którzy kiedyś wyruszyli do FSC, pozostał już tylko on jeden. Wydoroślały po wojsku, głowa rodziny, w nowych warunkach i wśród nowych kolegów zaczynał kolejny etap życia.

Ściągnął do fabryki braci, był okres, że w FSC pracowało czterech Łobodów, ślusarzy z dziada pradziada... rolnika. Stanął na czele młodzieżowej brygady pracy socjalistycznej, w której znaleźli się jego dwaj bracia. Trzy razy pod rząd zajmowali we współzawodnictwie pierwsze miejsce, zdobywając w końcu na stałe proporzec przechodni Rady Robotniczej i ZMS. Kontynuował też pracę w organizacji młodzieżowej. Został wkrótce przewodniczącym Koła Wydziałowego, wszedł do Zarządu Fabrycznego ZMS. Za osiągnięcia w pracy brygada Łobody otrzymała dyplom uznania z Komitetu Centralnego ZMS, zaś jej kierownik wyjechał w nagrodę na dwutygodniową wycieczkę do ZSRR.

Mniej różowo przedstawiały się warunki życiowe młodego małżeństwa. Mimo że Stanisław bił rekordy, zarabiał coraz lepiej i cieszył się uznaniem zwierzchników do tego stopnia, że do jego brygady przydzielano „na wychowanie" młodzież określaną mianem „trudnej" — mieszkał z żoną w małej drewnianej budce w dzielnicy Majdanek. Ich „dom", był kiedyś kioskiem handlowym, który przed laty wystawił sobie miejscowy rzeźnik. Kiedy przyszedł na świat syn, sytuacja stała się jeszcze bardziej skomplikowana. A Łoboda zapisał się w dodatku do wieczorowego technikum zakładowego. Trzeba było ogromnego samozaparcia, żeby w takich warunkach nie obniżyć lotów w pracy, kontynuować naukę i... znajdować jeszcze czas na wychowywanie dziecka. Dochodziły do tego zajęcia w organizacji partyjnej, do której wstąpił w 1962 r., a rola „wychowawcy" niesfornych kolegów w brygadzie nie raz stargała mu nerwy. Musiało wtedy paść niejedno mocne słowo pod adresem podwładnych, którzy początkowo wcale nie mieli zamiaru „wychodzić na ludzi". Satysfakcją dla Łobody był fakt, że chcąc nie chcąc, na owych ludzi w końcu „powychodzili" jeden z nich został nawet później wybrany przewodniczącym oddziałowego koła ZMS.

W 1965 r. Łobodowie nareszcie zyskali własny kąt. Zakład dał im mieszkanie w nowoczesnym bloku w dzielnicy Tatary, w pobliżu fabryki. Niemal równocześnie Stanisław uzyskał dyplom technika-mechanika i w tym samym roku został majstrem w oddziale spawalni kabin „Żuków". W rok później otrzymał awans na kierownika tegoż oddziału.

* * *

Dawna, typowo rolnicza rodzina Łobodów z Kielecczyzny rozpierzchła się po całej Polsce. Ale też nastąpiła stabilizacja całej rodziny. Rodzice pozostali na roli, dzieci weszły na stałe w środowisko robotnicze. Więcej, niektórzy synowie myślą kształcić się dalej, pragną zdobyć zawód inżyniera-mechanika. Kiedy odwiedzają rodziców, jadą do wsi asfaltową szosą, po której krążą także lekkie ciężarówki z napisem „Żuk" na masce. Buczenie syreny parowca, przed dwudziestu trzema laty jedynego łącznika rodzinnej wsi Łobodów ze światem, dawno już ucichło. Stara, sfatygowana „Izabella" dochodzi żywota zacumowana przy kazimierskim nadbrzeżu, pełniąc funkcję turystycznego hotelu...

Mirosław Derecki

widzą w tym, o czym piszę, większego problemu:

— Intensyfikujemy naszą produkcję rolną. Dla przykładu sam powiat hrubieszowski daje takie same, a nawet nieco większe plony niż, na przykład, całe województwo krakowskie. A intensyfikacja wymaga nie tylko kosztów, ale i odpowiednio zwiększonego wkładu pracy żywej. W tej sytuacji nasza wieś w okresie spiętrzenia robót nie jest w stanie sama podołać zadaniom, a w innych rejonach jest odwrotnie. Więc zanim wkroczy pełna mechanizacja...

— W gruncie rzeczy taki stan dla wszystkich stron jest korzystny. Zgoda, warunki sanitarne nie są najlepsze, najmowani nie posiadają żadnych uprawnień pracowniczych, ale też o wyzysku mowy być nie może. Trudno, to praca sezonowa. A zarobki są, relatywnie, dobre, nawet atrakcyjne. Gospodarz wymaga, owszem, ale musi się pilnować, żeby się nie narazić — popyt i tak jest większy od podaży. To właśnie najlepiej gwarantuje uczciwość.

— Ilu jest w naszym powiecie? Trudno to określić, nawet biuro ewidencji ruchu ludności nie daje obrazu, bo nie wszyscy się meldują, często się przenoszą poza tym. Ale sporo ich jednak przyjeżdża latem. Autobusy są zatłoczone.

Tak, autobusy w sezonie bardzo są zatłoczone.

5.

W telewizyjnym reportażu sprzed kilku miesięcy oglądałem scenki identyczne jak te, które obserwowałem przy dworcach autobusowych w Hrubieszowie czy Tomaszowie. Rzecz — w TV — działa się w Krakowie przy rynku warzywnym, gdzie znalazła sobie miejsce czarna giełda siły roboczej, wynajmowanej bynajmniej nie przez samych podmiejskich badylarzy. Także przez rolników, nawet z okolic odległych o kilkadziesiąt kilometrów.

Tak więc chyba tylko z perspektywy gromady czy powiatu problem nie musi wydawać się zbyt poważny. Nasuwa się jednak pytanie: czy istnieją środki zaradcze lub choćby tylko sposoby czujnego sterowania, sprawowania rozsądnej kontroli nad samorodnym zjawiskiem nie tyle może społeczno-ekonomicznym, co socjologicznym? Można by tu mówić, powtarzając bynajmniej nie prowokowane postulaty licznych moich rozmówców: o konieczności przyspieszenia procesów mechanizacji wsi, nadążania przemysłu za potrzebami rolnictwa, dalszego rozwoju systemów kredytowych na zakupy maszyn; można rozważać kwestie zatrudnienia kobiet i próbować dokonywania bardziej udokumentowanych, głębszych analiz dotyczących tzw. ludzkich aspektów całej sprawy.

Można by...

Ale wszystko to wykraczałoby znacznie poza ramy reportażu i kompetencje reportera; funkcją jednego i drugiego jest chwytanie rzeczywistości na gorąco, celem — t y l k o sygnalizowanie zjawisk.

Stanisław Harasimjuk

CZŁOWIEK współczesny chcąc nie chcąc jest człowiekiem politycznym. Jest to prawda, zdawałoby się, oczywista. Wspierają ją codzienne serwisy informacyjne telewizji i doniesienia prasowe, zagęszczone faktami z wojny indochińskiej, z Bliskiego Wschodu, z Chile, z Irlandii Północnej, Kanady — faktami, które w taki czy inny sposób interesują nasze państwo, nas wszystkich, oddziaływają bowiem na sposób i treść polskiego uczestnictwa w świecie. To, że w Chile do władzy dochodzi lewicowy prezydent, jest dla nas istotne jako przedłużenie wpływów ideologii socjalistycznej, a więc tej, która profiluje najistotniejszy sens polskiego życia społecznego i gospodarczego. To, że w Niemieckiej Republice Federalnej znajduje się u władzy właśnie Brandt obchodzi nas szczególnie.

Ale nie tylko ta, najszersza płaszczyzna polityki światowej, opasanej systemem przeróżnych zależności i oczekiwań, skupia dziś polską uwagę. Nasi specjaliści pracują w wielu krajach Europy, Azji i Afryki, reprezentując poza umiejętnościami i wiedzą właśnie polskie myślenie polityczne. Ciekawią środowiska, w których przebywają, niejednokrotnie spełniają rolę pierwszych informatorów o rodzinnym kraju. Od tego, jak wywiązują się z tej roli, zależy opinia Arabów czy Hindusów o odległym europejskim państwie.

Człowiek współczesny jest więc o tyle człowiekiem politycznym, o ile potrafi porządkować zjawiska i fakty polityczno-społeczne w swej świadomości, o ile potrafi się do nich ustosunkować, ocenić — w rezultacie uznając za swoje lub obce. Oczywiście, każdy z nas czyni to na co dzień, przy pomocy metod, zgódźmy się z tym, nieco chałupniczych, opierając się na osobistych doświadczeniach, relacjach znajomych, wyrywkowej lekturze prasy. Ta zbitka poznawcza układa się w wątłe perspektywy, w których osamotnione i powierzchownie naświetlone fakty przekazują tylko część prawdy. Z takiej wiedzy powstają często mity i fałszywe opinie, w najlepszym razie rodzi się niepokój, związany z niemożnością sformułowania odpowiedzi na dręczące pytania, ważny problem. A po opuszczeniu szkoły czy uczelni jesteśmy zdani właściwie na siebie samych, na swoją inicjatywę poznawczą, która zazwyczaj wyczerpuje się na sprawach ściśle zawodowych. Rozbudzanie i zaspokajanie potrzeby szerokiej wiedzy o zagadnieniach społeczno - politycznych

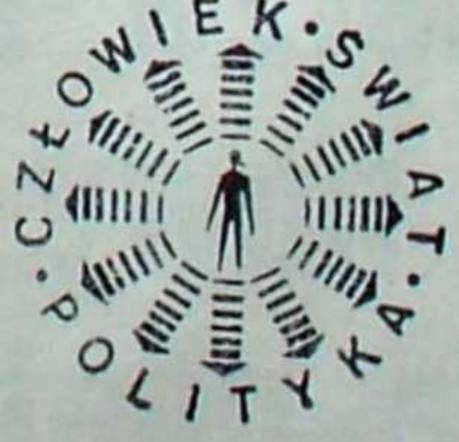

polskiej i światowej współczesności jest więc zadaniem szczególnie ważnym.

W istotnym stopniu spełniają je doroczne dni książki społeczno-politycznej, organizowane zwyczajowo w dniach 20—30 listopada.

W tym roku uwaga instytucji i organizacji, zajmujących się upowszechnianiem tego typu literatury, skupia się na dwóch kręgach tematycznych. Tak więc czytelnicy mogą spodziewać się bogatego wyboru prac przedstawiających idee i zasady marksizmu — leninizmu oraz opracowań wyjaśniających istotę i cele polityki gospodarczej partii, uczących prawidłowego rozumienia zachodzących procesów i zjawisk ekonomicznych, pomagających doskonalić umiejętności kierowania mechanizmami gospodarczymi oraz podnosić nowoczesność i efektywność produkcji. Literatura obu grup tematycznych przeznaczona jest więc zarówno na użytek osób szerzej wprowadzonych w zagadnienia, jak i dla tych, którzy dopiero zaczynają swój z nimi kontakt.

Stałą formą popularyzacji tej literatury są kluby książki „Człowiek — Świat — Polityka", których rozwój jest wymownym dowodem sensowności całej akcji. Na Lubelszczyźnie kluby te skupiały w ubiegłym roku 3 255 członków, czyli dwukrotnie więcej, niż w roku 1965. Aktualne plany przewidują zwiększenie tej liczby do ok. 5 500. Księgarze uważają te wskaźniki za prawidłowe w warunkach województwa lubelskiego.

Największą popularnością członków klubów cieszyły się w ubiegłym roku pozycje z historii najnowszej, a więc „Śmierć gubernatora" Berezowskiego, „Notatnik z Norymbergi" Pelewoja, „Droga z Monachium" Reniaka; dużym zainteresowaniem obdarzono również „Przewodnik po stolicach świata".

W ubiegłym roku odnotowano również poważne sukcesy w upowszechnianiu literatury związanej ze 100-leciem urodzin Lenina.

Warto na koniec zauważyć, że książki wchodzące w skład proponowanego klubom zestawu są z roku na rok ciekawsze pod względem stylistyczno-językowym, co nie jest sprawą, jakby się mogło wydawać, wcale bagatelną. To właśnie bariera frazeologii, właściwej w przeszłości dla omawianych wydawnictw, była zasadniczym elementem, odstraszającym od najbardziej nawet wątkich merytorycznie książek przeciętnego czytelnika.

(MZ)

Kamena str. 7

AGORA

W PUBLICYSTYCE literackiej, dotyczącej tzw. „młodej literatury", pojawił się około 1968 roku termin „Grupa Literacka AGORA". (Sami używaliśmy go od 1966 r.). Jej geneza sięga jednak znacznie dalej. Od maja 1964 r. zaczął na Uniwersytecie Wrocławskim wychodzić powielany biuletyn ZMS-u — „AGORA". Od grudnia tegoż roku uruchomiono jej „Wydanie Literackie", w którym redakcja pisała: „W pierwszym numerze spotykamy się z twórcami, których najczęściej jeszcze nie znamy. Są to czasem ich debiuty (...). Oczekujemy, że uda nam się skupić wokół pisma wielu interesujących ludzi, którzy swoim talentem będą wpływać na dalszy jego rozwój. Bardzo zależy nam na współpracy z młodymi twórcami, którzy jeszcze nie mieli okazji zadebiutować. Liczymy też na współpracę twórców już zaangażowanych, mających pewien dorobek literacki".

Warto zwrócić uwagę na charakterystyczny moment, będący znamienną cechą całej późniejszej, bardziej lub mniej mgławicowej, grupy. W jej skład wchodziły osoby, które brały czynny udział w pracy politycznej ZMS na uczelni. Działalność literacka nie wysuwała się u nich początkowo (a u większości z nich chyba i obecnie) na pierwszy plan. Redakcja nie stawiała żadnych przeszkód w publikacji tekstów. Jedynymi kryteriami był odpowiedni (lub uznany za odpowiedni) poziom artystyczny — w jego ustalaniu pomagali pracownicy naukowi polonistyki — oraz „kwalikacje polityczne". To drugie kryterium nie było eksponowane w redakcyjnych wstępach, ale funkcjonowało w świadomości redaktorów. W płaszczyźnie politycznej stała redakcja (z tej racji, że jej członkowie należeli do ZMS lub byli członkami i kandydatami PZPR) na platformie sformułowanej przez ZMS.

Niebawem wokół pisma zdołała się skupić taka grupa. Większość jej członków rekrutowała się z Klubu Miłośników Literatury „VADEMECUM", założonego w listopadzie 1962 roku przez ówczesnego studenta I roku prawa, Cezarego E. Jędrzejewskiego. Klub ów skupiał studentów pierwszych lat (wyłącznie z Uniwersytetu) i działał zasadniczo w dwu sekcjach: recytatorów i młodych twórców. Recytatorzy na publicznych wieczorach czytali nie tylko teksty swych kolegów, ale urządzali specjalne wieczory poetyckie, popularyzujące np. „Poezję Czarnej Afryki". Organizowano też spotkania z krytykami, pisarzami, pracownikami nauki. Stawiający pierwsze kroki poeci z „VADEMECUM" nie mieli własnego organu, a jedynym forum, na którym prezentowali swe teksty publiczności ściśle studenckiej, były zbiorowe, anonimowe „wieczory młodych talentów". Ta właśnie grupa zasiliła krąg, na którym oparła się w początkowej swej działalności „AGORA".

Z innych uczelni pochodzili współpracujący z „AGORĄ" członkowie Klubu Młodzieży Artystycznej „ARKA", który w październiku 1964 powstał przy PAŁACYKU. Z jego założeniem wiązano (w niewielkim stopniu spełnione) nadzieje, że uda się w nim skupić całe młode środowisko twórcze Wrocławia: pisarzy, muzyków, aktorów, piosenkarzy itp. Dla doświadczeń późniejszych „agorzystów" ważny był i ten fakt, że do „ARKI", obok niektórych członków „VADEMECUM", należeli byli członkowie grupy literackiej „DLACZEGO NIE", która istniała we Wrocławiu w latach 1956—1959. Fakt ten zapewniał pewnego rodzaju ciągłość tradycji. „ARKA" wydała na początku 1965 roku własny informator, zawierający wiersze członków Klubu.

O atmosferze w kręgu „AGORY" świadczy np. jeden z licznych wstępów redakcyjnych: „Sprawy młodej literatury, nawet tej naszej, studenckiej, nie mogą być dla nas obojętne. Nie jest to tylko prowokacja z naszej strony, nie jest to tylko w literackiej formie ujęte wyzwanie. To jest coś więcej. Nie możemy czekać, aż stać nas będzie na publikowanie naszych myśli w innych warunkach, na innych płaszczyznach. Nie włączamy się jeszcze w nurt dyskusji, które toczą się na łamach naszych pism literackich. Jesteśmy jeszcze za młodzi, nasze utwory są zbyt niedojrzałe. Ale nie możemy czekać, aż staniemy się na tyle dojrzali, aby nasza twórczość znalazła uznanie w oczach krytyków. Wtedy może być już za późno na wypowiadanie tych problemów, które nas teraz nurtują, które stanowią w tej chwili dla nas pewną wartość. Nasza twórczość, czy to poetycka, czy krytyczno-literacka, musi być w tej chwili oceniana, musi się już teraz sprawdzać. Spotykamy się z wieloma problemami, które nie są nam obojętne, dyskutujemy o nich, staramy się je przekazać czytelnikom, których doświadczenie nie jest tak zbyt odległe od naszych".

„Wydanie Literackie" do grudnia 1965 roku odbijane było na powielaczu spirytusowym. Potem produkcję przejęła powielarnia uniwersytecka, a od nr 19 — „Introdruk". Pismo otrzymuje nowy, bardziej atrakcyjny wygląd, zuboża jednak szatę graficzną, bo zarówno technika powielania, jak i koszty uniemożliwiają kontynuowanie ilustrowania poszczególnych numerów.

Zmiana szaty graficznej, zwiększenie nakładu (ostatni, 25 nr — 500 egz.) powoduje wzrost popularności pisma. „AGORA", która — nigdy tego otwarcie nie formułując — stawiała sobie za cel integrację najmłodszego środowiska literackiego Wrocławia, powoli zaczęła wychodzić z opłotków uniwersyteckich, a potem wrocławskich. Początkowo poprzez przekłady z „młodej" literatury niemieckiej, rosyjskiej, czeskiej i słowackiej, następnie poprzez kontakty z innymi środowiskami w Polsce. Od nr 14 (grudzień 1966) zaczyna z pismem współpracę A. K. Waśkiewicz (Zielona Góra), następnie Stanisław Barańczak (Poznań), Andrzej Biskupski (Łódź), Stanisław Gębala (Rzeszów), Bogusław Żurakowski (Opole). Poza pozyskaniem stałych współpracowników podjęła „AGORA" akcję prezentacji młodych środowisk literackich: opolskiego, kłodzkiego, łódzkiego, zielonogórskiego. Na łamach „AGORY" zresztą publikowali indywidualnie młodzi pisarze z całej Polski. Do nr 25 było ich ok. 150 osób.

Dotychczasowe doświadczenie wykazuje, że podobne inicjatywy studenckie kończą swój żywot w momencie ukończenia studiów przez ich inicjatorów. Główna przyczyna tkwi w zrozumiałej skądinąd tendencji do rozproszenia absolwentów wyższych uczelni po kraju. We Wrocławiu miał miejsce ten szczęśliwy przypadek, że główni inicjatorzy pozostali na uczelni, bądź podjęli pracę we wrocławskich instytucjach kulturalnych. Aktualnie w skład „Grupy Literackiej AGORA" wchodzą pracownicy naukowi i studenci wyższych lat Uniwersytetu Wrocławskiego: Lothar Herbst, Marek Garbala, Michał Fostowicz-Zahorski, Bogusław Sławomir Kunda, Artur Kisiel (Stanisław Gierałtowski), Andrzej Zawada, Ireneusz Spychalski, Henryk Kubicki, Michał Waliński. W dorobku grupy istnieje szereg publikacji poetyckich, prozatorskich, krytycznych, publicystycznych, naukowych, rozproszonych po prasie społeczno-kulturalnej i zamieszczonych w „AGORZE" oraz jedna książka — tom wierszy Herbsta „Pejzaże" (Ossolineum 1970). Na publikację czekają cztery tomiki wierszy i tom opowiadań. Wspólne prezentacje: „Orientacja", listopad 1969; „Student" 1970, nr 4; „Poezja" 1970, nr 6. Do tego dodać należy działalność organizacyjną: cztery (od 1966 r.) ogólnopolskie turnieje poezji zaangażowanej, coroczne konkursy na debiut dla studentów lat pierwszych Uniwersytetu Wrocławskiego, wydanie w latach 1964—1969 37 numerów „AGORY" (12 publicystycznych, 25 literackich) oraz Ogólnopolskie Sympozjum Młodej Krytyki Literackiej (4—6 VI 1970, Świeradów). Materiały Sympozjum: referaty, autoprezentacje postaw krytycznych i głosy w dyskusji ukażą się nakładem wydawnictwa „ISKRY" staraniem grupy „AGORA" i ZG ZMS.

Jest rzeczą charakterystyczną, że „AGORA" nie posiada ściśle sformułowanego programu literackiego. Wynika to stąd, że jej pisujący wiersze członkowie nigdy na czoło swej działalności nie wysuwali twórczości poetyckiej, lecz traktowali ją jako jedną z form tej działalności, której celem jest — jak to formułuje artykuł „Wobec innych" („AGORA", nr 19, styczeń 1968) — „kształtowanie marksistowskiego oblicza kultury i literatury". Nie był to jednak, jak się niekiedy błędnie usiłuje przedstawić, manifest grupy, lecz artykuł redakcyjny, pisany w imieniu całego kręgu współpracującego z pismem. Niemniej znalazło się w nim kilka sformułowań zamieszczonych w imieniu grupy, a dotyczących jej działalności poetyckiej. Miały one na celu odcięcie się od modnych (a zdaniem członków grupy nieplodnych artystycznie i światopoglądowo) w młodym środowisku Wrocławia tendencji „poezji lingwistycznej". Sformułowania te jednak nie zawierały propozycji artystycznych. Oczekujących na program grupy musimy uprzedzić: żadnego programu nie będzie. Istnienie bowiem „Grupy Literackiej AGORA" wynika nie ze wspólnych założeń artystycznych, lecz ze wspólnej historii i wspólnej pracy.

Bogusław Sławomir Kunda

Bogusław Sławomir Kunda

wiosna 1970

zwycięzców nikt nie pyta o racje
sławić ich będzie każda żołna
każdy sąd przyzna im legitymację
pokory

zwycięzcom nikt nie zetrze
mgły z oczu idea ich odporna
na nienawiść i rdzę

a racje pokonanych
rozniosą w dziobach
gołąbki pokoju

Michał Fostowicz-Zahorski

malepartus

tyle co ze spokoju w domu zostawiono
pianino pełne ciszy
i w kominie złoto
buty sprzątnięto za progiem
nie powrócą zabłocone szurając
nie będzie szczekał już
zdechły pies nad grobami panów
nikt nie pobiegł za karawanem
nikt już bez kwiatów w oczach
nikt bez kwiatów w zębach
nikt błądzi po ogrodzie

Lothar Herbst

Z cyklu: Zagubieni w popiele

Obraz V

tu twoje stada znajdą spoczynek
w stłamszonych i
niepotrzebnych trawnikach
na mostach oblanych ogniem
na szybach odbitych blaskiem

karawana cieni
powędrowało w głąb miasta
z opuszczonych studni wołała woda
a zapach towarzyszył wędrówce jak
niegdyś

gdy byli ludzie
gdy była prawda

i wówczas jak i teraz
nie było boga w tym mieście
nie było komu zapędzić stada
do stęsknionej wody

i wówczas jak i teraz
nie było wody
w papierowych studniach

Andrzej Zawada

sen

już tylko wrzeszczeć pozostało

gdy nagi
postawiony na rynku nagości
ręce wyrzucam
i miotam mięśniami
cały się zapieram
drę klatkę na strzępy

a ona odrasta

więc ryczę
gardło nadymam
i ryczę
a nagość wokół
tak dokładnie naga
a ręce krótkie a naga umyka
a naga zasłania a naga odsłania
naga się przybliża naga pachnie
ciałem

klatka jest zmyślona
choć siadają na niej gołębie
prawdziwe

Henryk Kubicki

Otwarty na oścież

całym sobą nie jestem dla siebie
zagrożony miłością i śmiercią
zagrożony
patrzę jak ubywa mnie ze mnie
choć się nagradzam za odbytą drogę
i miłość za miłość biorę

między wolnością a przymusem
oglądam się za siebie

...jestem w tobie wyleniałym psem
i już nie śmiem
jestem wiatrem w polu
i oddaję polom co polne
przystanąłem rybą
dzisiaj w sobie jutrem
zdany nie na siebie
ciemno-biały orzeł
słabo-silny wilk

Marek Garbala

Teatr

ten spektakl nie wywołał zachwytu zgromadzonych widzów
za dosłownie rozwiązano problem granej sztuki
rekwizyty wygrzebane z meandrów pamięci
stały się zbyt realistyczne w działaniach aktorów
sceny rozmieszczono w różnych punktach ziemi
argumenty dla zbrodni znaleziono łatwo
— literatura zawsze miała je pod ręką —
i statyści nie zostali bierni w zawiłościach akcji
naruszyli przywilej w role weszli biegle
choć oklaski nie dla nich
lecz publiczność niekiedy woli inne dzieła
bardziej czystą formę niż krwistość befsztyku
więc dyskusję zaczęto już w pierwszym antrakcie
najbardziej żywiołowi byli wykonawcy
i ich zwolennicy spośród kapłanów przeszłości
powoli w dramat wciągnięto niezaangażowanych
deski już niepotrzebne jedną sceną ziemia
teatr powszechny słona jednak cena
którą kazano zapłacić

Stanisław Gierałtowski

Wiatraki

zamknięte w całość
a jednak sterczące
pióra wiatraków
nad pustą równiną
w drogę
całość snów zamknięta w sobie
złożona w pętlę
i już pogrzebana
głęboko w bruk
wdeptując stopy
z donkiszotami
rozwalasz wiatraki
na pustej równinie
by była smutniejsza
ukrzyżowany na skrzydłach
wiatraków
umierasz stojąc
by móc patrzeć wprost
na tych co powiedzą
chciałeś
bracie
zbyt dużo wziąć na raz w dłonie

Kazimierza Brauna nowy teatr poetycki

Dokończenie ze str. 3

zara", „Aktora" i „Za kulisami" — te dwie ostatnie również jako samodzielne przedstawienia telewizyjne. Które z tych premier dały Panu najwięcej satysfakcji?

— Chyba pierwsza i ostatnia, „Pierścień wielkiej damy" w Teatrze Polskim w Warszawie i „Za kulisami" pokazane na scenie Teatru Słowackiego w Krakowie w tym roku. Cieszyłem się także bardzo z lubelskiego „Aktora". Nie udało mi się natomiast szczęśliwie wybrnąć z próby realizacji „Kleopatry i Cezara", może dlatego, że od początku miałem dość sceptyczny stosunek do tego dramatu, w swej płaszczyźnie historycznej dość schematycznego, a pod względem stylistycznym zbliżonego do ubiegłowiecznej opery, choć poruszającego w istocie ten sam, co w trzech pozostałych sztukach Norwida, problem wzajemnego stosunku i uwarunkowań jednostki twórczej i społeczeństwa.

— Problem wiecznie, śmiem zauważyć, aktualny. A inni dramatopisarze polscy, których Pan szczególnie ceni?

— Wyspiański. Reżyserowałem dotąd „Wesele" w Toruniu w 1965 roku, oraz „Noc Listopadową" w teatrze „Wybrzeże" w Gdańsku...

— Za „Wesele" dostał Pan swoją kolejną nagrodę za reżyserię. Ma Pan poza sobą 34 lata życia i 7 nagród festiwalowych...

— Od pewnego czasu myślę o inscenizacjach „Wyzwolenia" i „Akropolis". Czwórdzielne „Akropolis" chciałbym wystawić przy pomocy elementów baletu, opery i teatru dramatycznego, co wymagałoby specjalnych warunków i specjalnego zespołu. Trudno zatem przewidzieć, kiedy i gdzie zrealizuję ten zamysł. W sferze koncepcji ideowej znajduje się również „Wyzwolenie", wobec którego odczuwam jednak onieśmielenie: grane było wiele już razy, często świetnie.

— A czy nie obawia się Pan pomówień o anarchistyczne preparowanie klasyki, w wypadku spełnienia sygnalizowanych zamierzeń? Do „Aktu przerywanego" dopisał Pan fragment początkowy „próby przy stole", i parę jeszcze scen, ale zabiegi te całkowicie uprawomocnił sam charakter sztuki, będącej, jak to zauważył krytyk, zbitką „refleksyjnych didaskalii antyteatralnych". Zresztą do Różewicza nie pasuje mimo wszystko tytuł klasyka.

— Pozostaje z największym szacunkiem dla nazwisk wybitnych pisarzy i historyków literatury, którzy w teatrze widzą jedynie pewien środek transmisji tekstu dramaturgicznego i jego idei, a zatem traktują teatr jako funkcję literatury. Ja jednak takie poglądy uważam za anachroniczne. Czymś przestarzałym wydaje mi się szukanie sankcji dla przedstawienia i narzędzi dla badania go, niejako wstecz, w tekście literackim. Osobiście proponuję inną postawę: szukania tej sankcji na widowni, w społecznej sprawdzalności rzeczy teatralnej, w sprawdzalności na dziś. Przy okazji wypada zauważyć, że prawdziwy dramatopisarz, a nie literat, który zabrał się do pisania dialogów, wszystko to, co chciał powiedzieć, zawiera przede wszystkim w zdarzeniach i zaprojektowanych przez siebie działaniach postaci scenicznych; słowa są tylko pewnym środkiem wyrażania się postaci i nie w nich — w teatrze — kryją się sprawy najważniejsze, najtrudniejsze.

— Sztuka jako żywy fakt historyczny, a nie raz na zawsze zamknięta, niepodważalna formuła?

— Tak. Teatr, sztuka aktualna.

— Wielostronnie ludzka?

Kamena str. 8

MOST

Zbigniew Stepek

TADEUSZ Szczygieł nie bez powodu usiadł w ostatnim rzędzie foteli, całkiem z tyłu autobusu, zajmując miejsce w samym rogu, zawinął się szczelnie płaszczem, choć wcale zimno nie było, nawet kołnierz postawił, jakby chciał ukryć nie ogoloną twarz, nie lubił zresztą, żeby ludzie zaglądali mu w oczy, jeśli kto chce się czegoś dowiedzieć, niech zapyta, nie wybałusza ślepi w milczeniu.

Ale święto — pokręcił kudłatą głową — na sąd jadą.

Skulił się wewnętrznie od tego dowcipu, jakby się sam w sobie chciał schować, szukając ucieczki od siebie.

— Zabierz mnie stąd

— Zabierz mnie stąd

— Zabierz mnie stąd

To jedno zdanie powtarzała nieustannie Kaśka — ubrali ją w ten kolorowy szlafrok, z daleka wygląda jak bukiet kwiatów, wszystkie chore chodzą w takich szlafrokach, jednakich i jednakowych, dlatego niektórym ciągnie się po ziemi, innym odsłania białe łydki.

Tadeusz pytał ją o to i owo, opowiadał trochę, co na wsi słychać, ale ona w kółko powtarzała to jedno zdanie: „Zabierz mnie stąd".

Na pożegnanie pogładził jej wielką, czerwoną dłoń — chwyciła go za rękę: „Zabierz mnie stąd" — powtarzała szybko, patrząc gdzieś daleko przed siebie, może w pola i zabudowania „Szczygłówki", i coraz bardziej przekrzywiając głowę.

— Zabiorę cię, tylko trochę wyzdrowiejesz. Jak lekarz zezwoli, zaraz cię zabiorę.

Wydawała się nie słyszeć tych pocieszających słów, a kiedy Tadeusz oddalał się aleją zakładowego parku, po brzydkiej głupiej twarzy Kaśki potoczyły się ciche łzy.

Nienawistnym spojrzeniem spłoszonych oczu przewędrował po sylwetkach znajomych w autobusie — jeszcze nie wiedzą, że Kaśka w zakładzie, nie zdążyli jeszcze, ale dowiedzą się, prędzej czy później się dowiedzą, dopiero mnie wezmą na języki, a czort ich bierz, niech sobie użyją.

Trochę dłużej zatrzymał wzrok na Marcjannie, potem przymknął oczy jakby sobie coś chciał przypomnieć...

Boże jedyny ratuj — tego nie można wytrzymać, kot by zdechł, co dopiero człowiek.

Najpierw jeszcze odczuwał, jak głowa podskakiwała po posadzce — przy uderzeniach, przy kopaniu, tłukła się ta głowa jego nie jego o beton jak szczerupa, taki pusty dźwięk wydawała, wypełniający cały świat, niby balon, a prawdopodobnie wystarczyłoby nakłuć jego powłoki, choćby butem, by powstał sflaczały tylko zezwłok.

Boże jedyny ratuj, wszystko jedno, tak, tak, wszystko jedno — byle nie bili, niech zastrzelą, niech zakatrupią, ale już nie to...

Tadeusz przesunął dłoń po twarzy, jakby chciał zdjąć sprzed oczu natrętne wspomnienia, potem tę samą dłoń włożył do kieszeni płaszcza — gładki, obły kształt, może za mało chłodny, wszyscy siedzą tyłem, nikt nie patrzy na mnie, kierowca w lusterku też nie zobaczy, a co to, nie wolno mi, już kciukiem zaczął podważać korek, żeby przygotować ją sobie tam, w ciemnej kieszeni, spojrzał na Marcjannę, do sądu jedzie, ona, do sądu... wcisnął się jeszcze mocniej w kąt, po co Marcjanna jedzie do sądu, po co pani Zofia jedzie do sądu, kwiatki by przed szkołą podlewała, starucha, aha, wszyscy na sprawę Sieniawskich, można iść posłuchać, nie! Ja pójdę do Kaśki, do lekarza, panie doktorze — zapytam — zabiorę ją do domu, pan wie jak chałupa wygląda bez baby, i w polu nie ma kto robić, krowy sam doję — pan doktor doił kiedy krowę? he, he...

Potrzebna mi ta Kaśka właściwie na diabła! ach, jak ułapi, aż dech zapiera, mocna dziewucha, a ludzkie gadanie nic jej nie obchodzi, taka ona głupia jak i mądra, swój rozum ma, dobra dziewczyna, ot żeby jej doktorzy głowę wyprostowali a nie szukali jakiegoś wariactwa, pytają mnie: czy rodzice chorowali na co — pytają — czy pili... Bo to znam jej rodziców? Może i ona sama nie pamięta, nie mówiła nigdy o ojcu ani matce, jakichś tam rodziców mieć musiała, sroce spod ogona nie wypadła, a ważne to teraz, czy pili, czy nie pili.

Wyjął Tadeusz dłoń z kieszeni, spojrzał na palce, drżące lekko, trzęsą się najbardziej rano i wieczorem, szpagat przewlec przez ucho igły niełatwo i szydło nie zawsze trafi tam, gdzie trzeba, wzrok dobry, żeby tylko te ręce tak nie latały, palce poobtłukiwane szewskim młotkiem, skóra popękana od brudu i szorstkiej słomy, trzeba było sprzedać tę ziemię, tę chałupę na wsi, byłoby kawał grosza, można by jakiś warsztat w mieście otworzyć i spokojnie sobie żyć, teraz za późno już. Skusiła mnie ta ziemia, te morgi, co zdały się z nieba spaść, a mogłem spokojnie w mieście pracować, dawne czasy, wesołe czasy...

Dwóch nas było czeladników u grubego Korca — ja i Felek.

— Gwizdać, chłopaki, gwizdać, robota lepiej pójdzie — nawoływał majster. — Na psy teraz szewstwo schodzi. Buty fabryczne. Pokażcie mi lepszy but fabryczny, niż mój. Dużego Piłsudskiego stawiam! Gwizdać, chłopaki, jeszcze Polska nie zginęła. Coście tacy słabowici w gębie, kiedy wasze lata miałem, jak gwizdnąłem, to z Warszawy się gołębie zlatywały. Czego znowu gęby rozdziawiacie, śmiać się jak majster dowcipy opowiada!

Uśmiechnął się Tadeusz — rzadko mu się to ostatnio zdarzało.

— Szczygieł! — wołał majster. — Koniec roboty, zamykamy interes i idziemy na sikorki.

Ale gdzie tam majstrowi było do „sikorek" — brzuch na taczkach musiał wozić, nawet by go garbata Brońcia nie chciała. Na wódkę szli, doskonalić przy kieliszku szewskie rzemiosło.

Felek był młodszy — przypomniał sobie Tadeusz — ładny chłopak, tylko laluś trochę, maminsynkiem go nazwali. A on mówił, że jest „lew na kobiety". Oglądały się za nim baby, to prawda, bo wysoki był i usta miał bardzo czerwone. Z rana, zanim jeszcze majster kazał gwizdać, Felek opowiadał o swoich sukcesach, że umówił się z Maryną albo Zośką, albo bufetową z „Myśliwskiej" i niewyspany jest. Opowiadał, że zimne nogi, cholera, miała, albo długie do samej szyi. Codziennie, co drugi dzień, przynosił spinkę do włosów. „Każdej — mówił — z którą się prześpię, jedną spinkę z włosów wyciągam". Taki był kolekcjoner. Przypomniał sobie Tadeusz, jak któregoś dnia wszedł do sklepiku Rothauma krawat kupić. Jakoś to przed świętami było, ludzi w sklepie pełno, przeważnie kobiety. Patrzy Tadeusz — Felek wśród bab stoi, spinki do włosów kupuje, cały tuzin.

— Felek! A tobie to po co?

— Niech to między nami zostanie — szepnął zapłoniony jak dziewczyna — postawię ci ćwiartkę...

— Tak tanio?

— Dwie ćwiary postawię...

— Toś ty taki, toś ty taki „lew na kobiety"...

— Postawię cztery ćwiary, jak mi wszystko powiesz...

— Co ci powiedzieć?

— No wszystko... jak to jest. Żebym wiedział...

Ej, Felek, Felek.

Majster Korzec to już z pewnością w niebie na gołębie gwiżdże. Co też się z Felkiem stało...

Ot, można było warsztat w mieście otworzyć, ożenić się, żyć spokojnie, teraz za późno już, teraz nic się nie chce, jedynie uciec jak najdalej, gdyby nie lęk, że uciekającego mogą zacząć ścigać, za co, za co, czy oni wiedzą, jak bili na gestapo...

Nikomu nie chciał nic złego uczynić, Tadeusz, nikomu, może tylko sobie, wtedy, gdy już podleczył się z ran i przyszli do niego do domu Niemcy z wódką i zaczęli rozmawiać, rozmawiać tylko, popili sobie. Kaśkę ten wysoki blondyn uszczypnął w tyłek, nic więcej, pytali o to i owo, normalnie, jak ludzie w rozmowie, poprosili Tadeusza, żeby za tydzień przyjechał do nich, do miasta, też rozmawiać tylko — i wtedy właśnie, jak odjechali tym swoim czarnym samochodem, Tadeusz przemył sobie twarz wodą z cebrzyka, wyszedł na dwór, na powietrze, Kaśka rozwieszała uprania bieliznę, stanął przy sznurze, uczepił się go mocno dłońmi, niby przytrzymując się, żeby nie upaść, i nie widział nic, ani bielizny, ani Kaśki, ani świata bożego, tylko wyczuł szorstkość sznura na grdyce i w dłoniach.

— Popiliśta!

...wyczułem szorstkość

— Popiliśta! — odsunęła go Kaśka, wieszając mokre prześcieradło.

Nie bardzo wiedząc co robi wszedł Tadeusz do stodoły, stanął pośrodku i stał — zjawiła się zaraz Kaśka przy nim, przywarła uśmiechnięta, przewaliła go na klepisko i robiła co chciała, uśmiechając się tylko.

Wtedy to Tadeusz zapytał, tak mu przyszło nie wiadomo skąd do pijanej głowy — i zapytał:

— A jakby cię ten wysoki blondyn chciał?

Pokiwała przecząco swoją krzywą głową — mówić to ona nie mówiła za wiele. Podobno szczęśliwym słowa nie są potrzebne.

— Co byś mu zrobiła?

Kaśka uśmiechnęła się.

Czasem smutniała... lubiła patrzeć, jak kobiety wychodzą w pole z małymi dziećmi, usypiają je huśtaniem, układają w płachcie na miedzy, karmią białą piersią. Zagapiała się wtedy Kaśka, wielkie dłonie przyciskała do swego twardego brzucha, ale nic nie mówiła.

Trudno byłoby teraz Tadeuszowi wyobrazić sobie życie bez Kaśki. Zmarnieje tak, w zakładzie, bez roboty. Zabiorę ją dzisiaj i już. Lekarze to by każdemu chorobę wmówili, żeby pieniądze brać. Kaśka w zimie po śniegu boso chodzi i nic jej, aż tu nagle — chora.

— To wasza żona? — zapytał przy wpisywaniu lekarz.

— Nazwisko?

Bo ja wiem, jakie nazwisko... Kaśka, Kazimiera, a nazwisko? Co to, bez nazwiska żyć ludzie nie mogą? Nazwisko... nazwisko... Tak go pytali — na gestapo: nazwisko?

On się nazywał Speiser. Wtedy przyjechał do wioski tylko ten wysoki blondyn — i tylko oni dwaj wiedzieli: blondyn i Tadeusz.

— Nie powiesz nikomu? — spytał blondyn.

— Co mam mówić...

— Nie powiesz? — upewniał się Niemiec.

— Nie powiem.

— To weź w dwie garści, ile zmieścisz — powiedział blondyn, bo to bardziej utwierdzało go w pewności, że Tadeusz nikomu nie powie.

Złoto parszywe. Można by za nie wyjechać gdzieś, do Ameryki. Tylko nie można upomnieć się u pani Zofii. Bezpieczniej się nie upominać.

Bezpieczniej nie myśleć o tym. Czasem to się udaje. Dużo lat przywaliło swym ciężarem tamte wspomnienia. Pomaga nie pamiętać ziemia, spragniona pracy i troski ludzkiej, czasem drugi człowiek, czasem wódka.

Ile lat oddać — aby móc zapomnieć jedną krótką chwilę...

Pierwszego we wsi zabili Niemcy męża Marcjanny. Na niego padło. Może by go i nie zastrzelili, gdyby się przyznał...

Cała wieś przyszła na pogrzeb. Znał go kto dobrze albo i nie, lubił go albo się z nim swarzył, wszyscy przyszli. Dzwony z kościoła już Niemcy zabrali — więc sygnaturką kazał proboszcz dzwonić. Dzieciom szkolnym z kwiatami pani Zofia iść kazała. Wesela tak hucznego jak pogrzeb nie miał.

Chłopi nieśli trumnę na ramionach, z domu do kościoła, z kościoła na cmentarz. Zmieniali się często — nie żeby im ciężko było, ale za zaszczyt sobie ten obowiązek liczyli. Marcjanna tuż za mężem. Helcię małą stara Sieniawska, też dumna, na rękach niosła. Potem ją inne kobiety zmieniały.

Pamięta dobrze Tadeusz ten pogrzeb, szedł w środku, mógł widzieć wszystkich przed sobą i za sobą, jeśli się obejrzał. W środku tej ludzkiej ciżby szedł, żeby nie za blisko trumny i nie za blisko końca.

Marcjanna nie płakała, chyba nawet uśmiechała się od czasu do czasu. Dopiero na cmentarzu, kiedy proboszcz modlitwy zakończył i chłopi wzięli do rąk sznury — rzuciła się na trumnę, obejmując świeże, żywicą pachnące deski.

Mówili ludzie, że nie płakała. Tadeusz nie widział, bo na cmentarzu stał w środku zgromadzonych — żeby nie za blisko grobu i nie na końcu.

Wydawało mu się, że trzeba iść z wszystkimi na tę uroczystość, i że najlepiej zawsze być w środku...

Jaką odbyć trzeba pokutę, żeby nie pamiętać całkiem — co z siebie wyrwać, żeby zapomnieć?

Czy tamten pogrzeb — to mało...

Czy tamta noc na skrwawionej posadzce — to jeszcze za mało...

Włożył Tadeusz dłoń do kieszeni płaszcza, wyszarpnął korek, potem szybkim ruchem przytknął do ust, przechylił, schował z powrotem. Wierzchem dłoni otarł usta i brodę. Teraz lepiej, teraz cieplej.

Jeśli mi nie oddadzą dzisiaj Kaśki, pójdę do restauracji i każę postawić przed sobą dwie półlitrówki, będę na przemian nalewał — to z jednej, to z drugiej. Mam za co pić. Za swoje piję. Dla kogo pracuję... Nawet gdybym z Kaśką ślub wziął, co to się zmieni, widocznie dzieci nie może mieć, bo by już dawno miała. Najpierw miej dziecko, potem wychowaj, potem się z nim procesuj, ot, życie — zaklął Tadeusz i wydało mu się, że mógł ktoś usłyszeć, głębiej wtulił głowę w kołnierz, przymrużył swoje kocie oczy — ale nikt się nie obejrzał, cisza była w autobusie, jakby posnęli wszyscy albo pomarli. E, żyją: Sieniawski po głowie się drapie, Marcjanna chustkę poprawia, pani Zofia szuka czegoś w torebce.

Jak mnie zapytają, to powiem, że o żadnym złocie nic mi nie wiadomo. Jakich mam świadków? Kaśka poświadczy, poświadczy jak mnie doglądała, zbitego, że o własnych siłach z boku na bok obrócić się nie mogłem. Zmarnieje do cna gospodarka bez Kaśki.

Żeby mi tak ziemię byli zabrali, pod jaką budowę albo co, daliby w zamian na zachodzie, gdzie bądź, byle daleko, byle mnie stąd wyrzucili. Może lżej byłoby wśród obcych żyć, przeżyć to niewiele, co jeszcze zostało do końca. Ona by wzięła wszystko po mnie, bo jej się należy, Kasce, niech robi co chce, kiedy mnie nie będzie. Jej się należy, a komu? Nawet wódkę sam muszę pić, bo z kim...

Tadeusz wyciągnął przed siebie dłonie — palce mu drżały, najbardziej z rana i wieczorem. Sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął flaszkę, rozejrzał się po autobusie, czy go ktoś nie obserwuje, szybkim ruchem przechylił flaszkę i pociągnął spory łyk, nikt nie zauważył, drugi łyk, trzeci, już niewiele zostało, z powrotem schował butelkę do kieszeni, zamknął korkiem. Teraz lepiej. Ciepło rozeszło się w nim całym. Dobrze tak jechać, kołysać się na resorach, nic robić nie trzeba, żeby jeszcze można nie myśleć. Cisza w autobusie, nikt nie rozmawia, nie krzyczy, nie śpiewa, szum silnika tylko słychać, i szum opon na asfalcie. Za szybami wszystko mknie do tyłu w zawrotnym pędzie, śpiesząc się dokądś, albo uciekając, uciekają przed autobusem ludzie, domy, drzewa, konie, dzieci, krowy, ucieka wszystko, bo autobus zwariował i tańczy po szosie jak pijany.

A w autobusie wszyscy posnęli, albo udają, żeby przeczekać niebezpieczeństwo, lepiej nie patrzeć na nich, mogliby się obudzić, albo przestać udawać sen — i zaczęliby patrzeć na mnie. Czego chcecie ode mnie? Co się tak przyglądacie?

Zabrzęczała mucha duża, zielona, usiadła na dłoni Tadeusza. Uderzył drugą dłonią, ale zdążyła podfrunąć, zawirowała w powietrzu, wylądowała w tym samym miejscu, poruszył ręką — mucha poderwała się, zrobiła kilka rund i znów przysiadła na ciepłej dłoni, przyczesała skrzydła cienkimi nóżkami i poczęła swobodnie spacerować. Głowa Tadeusza podskakiwała bezwładnie. Zasnął.

(Fragment powieści nagrodzonej na ogólnopolskim konkursie im. Józefa Czechowicza (III nagroda 1970 r.). Książka ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.)

— Operowanie żywym człowiekiem jest największym przywilejem teatru. Poszedłbym tu za Grotowskim, najlepsze aktorstwo to takie, w którym człowiek uzewnętrznia widowni swoją najistotniejszą treść, obnaża wewnętrznie i zewnętrznie swoją świętoanielskość, łajdackość, miałkość, ale i wielkość i piękno. Taki teatr zapewnia maksymalną aktualizację kontaktu między aktorem a widzem. „Laboratorium" Grotowskiego to nic innego, jak poddanie swobodnych idei teatralnych surowej ascezie zawodowej. Grotowski zamiast o „próbach" mówi o „treningu" aktorskim.

— Kim czy czym jest dla Pana aktor?

— Obok dramatopisarza najważniejszym partnerem, współtwórcą przedstawienia. Przygotowuję teraz „Kto ty jesteś" Brylla, pod względem techniki dramatopisarskiej awangardowy montaż luźnych scen na zasadzie „strumienia świadomości", misternie przecież skonstruowana rzecz o współczesnej Polsce. Poszczególne sceny mam obmyślane tylko w sensie zdarzenia, inscenizacyjnie, dość ogólnie inspiruję też aktorów, którzy bez uczenia się tekstów właściwie improwizują kolejne sceny, co w pewnym stopniu umożliwia struktura sztuki, pozbawionej tradycyjnie pojmowanych postaci — bohaterów itp. Rezultaty aktorskiej inwencji i wyobraźni, rodzące się podczas prób, będą włączone w normalne przedstawienie. Tak, aktor jest współtwórcą przedstawienia.

Niestety, nie wszyscy aktorzy rozumieją ideę współczesnego teatru. Poza tym technicznie przywiązani są na przykład do realizmu psychologicznego (będącego koniecznym elementarzem, ale dziś tylko elementarzem), są nie przygotowani fizycznie do zadań trudnych, niemal akrobatycznych, gubią się na nowej scenie. To jednak wyjątki. Młodzież aktorska, a także starsi lecz młodzi duchem, są pełnoprawnym współpartnerami.

— A może jednak tylko tworzywem? To, zdaje się, stwierdzają dziś aktorzy w całym kraju — nie bez sarkazmu i goryczy.

— Jeśli nawet aktor bywa tworzywem, to przesyconym możliwościami samoistnego rozrastania się, uplastycznienia. Przykładem wspomniane próby ze sztuką Brylla.

— Tworzywem posiadającym autonomię?

— Tak. Pragnąłbym, aby z tej autonomii aktor korzystał w jak największym stopniu, aby moja rola sprowadzała się do najogólniejszej inspiracji, aby sam aktor wnosił do przedstawienia szczegółowe rozwiązania.

— Mówimy o teatrze z należytą powagą, jako o ważnej sprawie kulturowej i artystycznej. Tymczasem coraz częściej i coraz głośniej gadają, że teatr profesjonalny kończy się na naszych oczach, a przed ostatecznym upadkiem chronią go takie czy inne zabiegi galwanizacyjne. Nadzieja teatru, gadają, w teatrze amatorskim, studenckim. Grotowski ogłasza zapisy do „Laboratorium", ale oczekuje tylko amatorów, z niesmakiem odwracając się nawet od studentów szkół teatralnych...

— Zreferowane przez Pana obserwacje są na pewno trafne. Prawdą jest, że teatr u nas opiera się w swej strukturze organizacyjnej na formach niekiedy przestarzałych, że są ludzie teatru myślący kategoriami starymi, nie nadążający za tymi zmianami, które życie dyktuje teatrowi, że bardzo często na scenach ukazują się rzeczy skostniałe, że ludzi ściąga się do teatru metodami administracyjnymi. Ale co z tego wynika?

Jestem głęboko przekonany, że teatr jest potrzebny nadal człowiekowi, bo jest w nim najwyższa doza humanizmu. Można oczywiście zastanawiać się, w jakich warunkach i środowiskach jest potrzebny bardziej, w jakich mniej. Wydaje mi się przy tym, że rosnący poziom wykształcenia naszego społeczeństwa sprzyja rozszerzeniu bazy teatru na widowni.

Myślę, że jego nadzieją, jego przyszłością jest, i owszem, teatr „amatorski", ale uprawiany przez z a w o d o w c ó w. To teatr zdecydowanie różniący się jednak od teatru amatorskiego i studenckiego... Myślę więc o teatrze, któremu chodzi o wypowiadanie idei artystycznych, społecznych i politycznych również, w sposób swobodny, jakoś właśnie „amatorski", lecz zarazem c e l o w y. A taki program są w stanie realizować tylko profesjonaliści. Takimi założeniami kieruję się w swej pracy na scenie lubelskiej. W ramach teatru — przedsiębiorstwa nie próbuję stwarzać marginesu dla poszukiwań artystycznych, ale w ramach tego właśnie przedsiębiorstwa chcę wykształcić taki styl pracy, w którym mieściłaby się bardzo osobista wypowiedź autora, aktora, scenografa, reżysera.

— Prorocy Nowej Cywilizacji wieszczą jednak — że od tej strony sprowokuję — zbyteczność wszelkiej sztuki w przyszłym społeczeństwie, które za sprawą rozwoju środków masowej komunikacji, niwelujących o d l e g ł o ś ć, przekształci się w jedną wielką wieś, której wystarczą pogaduszki na elektronicznej przyźbie.

— Do takiej wsi przyjdzie samotny błazen — mim — pierwszy aktor świata i swoim głosem rozbije ich gnuśny spokój.

— To go sponiewierają.

— A może kilku go posłucha...

— Ponad trzy i pół roku przebywa Pan w Lublinie, pełniąc funkcję dyrektora artystycznego Teatru im. Osterwy, a okres ten odnotowujemy po stronie zysków naszej sceny dramatycznej. Proszę wybaczyć nieco quizowy charakter pytania: która z dotychczasowych inscenizacji lubelskich pochłonęła Pana, jako reżysera, najbardziej?

— Oczywiście ostatnia.

— „Czasu jutrzennego" Czechowicza?

— Nie. „Kto ty jesteś" Brylla.

— Dopiero odbywają się próby!

— Może dlatego...

Rozmawiał:

Ireneusz J. Kamiński

okolice sztuki

„Obnażenie"

OTWARCIU wystawy młodego fotografika lubelskiego, Lucjana Demidowskiego, towarzyszyły tłumy, korytarz Miejskiego Domu Kultury ledwo pomieścił wszystkich łaknących sensacji, albowiem wieść gminna obiecywała sporo jurnej nagości, o co w mieście naszym może nie tak trudno, ale raczej w warunkach nie tyle artystycznych, co sportowo-towarzyskich.

Rozgorączkowany tłum czekał więc niecierpliwie, kiedy przedstawiciel władzy kulturalnej skończy swą mowę oficjalną i dokona otwarcia lokalnej „Venus 70". Oczekiwanie skracano sobie wzajemną lustracją, która pozwoliła zauważyć nieobecność malarza Kawiaka — „chwilowo w Paryżu", usprawiedliwiali wtajemniczeni — oraz Kossowskiego, który — szeptano — rolę tropiciela „dzikich" fotografów zamienił podobno na intratną posadę agenta jednego z zamożniejszych portreciarzy lubelskich. Takie przynajmniej plotki rozpuszczali wśród zebranych członkowie miejscowego Oddziału ZPAP.

Wreszcie przedstawiciel skończył i jednym zdecydowanym ruchem wraził palce w biały prostokąt papieru, dokładnie pokrywający drzwi tzw. sali kominkowej MDK, za którymi spodziewano się wiele radości. Goście ruszyli ławą, wpadając w czerwonawo łyskający półmrok, ciężko odmierzany gwałtownym rytmem beatu. Po chwilowym oszołomieniu, na wielu twarzach zakwitło zniechęcenie, a nawet coś w rodzaju tych stygmatów, które pojawiają się w niedzielne wieczory na krągłych obliczach powiatowych księgowych, po raz któryś z rzędu stwierdzających bezcelowość inwestowania w PP „Totalizator Sportowy".

Na ścianach wisiały po prostu fotograficzne akty kobiece, niektóre znakomicie skonstruowane plastycznie, nabrzmiałe leniwą łagodnością parabolicznych linii i obłych brył, przypominających rzeźby Brancuziego. A większość spodziewała się erotycznej draki!

Demidowski, ze znakomitym wręcz wyczuciem napięć przestrzennych, przemienił ciało kobiece w harmonijne zespoły form, nie odbierając mu przy tym posmaku życia, biologicznej witalności, ze spokojną pewnością przenikającej czarno-białe kształty. Niektóre zdjęcia okazały się klarownymi metaforami ludzkiej tożsamości ze światem naturalnym, swoistym przypomnieniem tej jedności prostym wpisaniem konturu kobiecej sylwetki w pejzaż jeziora i lasu. Poeza się znalazł, sarkali więc poniektórzy miłośnicy „Playboya".

Demidowski poświadczył raz jeszcze swoją umiejętność szybkiego i frapującego w sensie plastycznym odczytywania istoty każdego przedmiotu autorskiej uwagi, przenoszącą jego fotografie poza próg jakości czysto estetycznych bez stosowania chwytów tanich, wulgarnych. Wszystkie w wieku rębnym — cytowano więc tu i ówdzie Stachurę — a takie nieużyte...

Większość fotografii na wystawie to prace skończone, wewnętrznie zapięte na ostatni guzik, autonomiczne dziełka, zmuszające do indywidualnego kontaktu. Ale Demidowski dał się ponieść obowiązującym dziś chwytom aranżacyjnym i hasłom, głoszącym pilną konieczność wyjścia poza czarno-biały prostokąt. Spróbował stworzyć „przestrzeń emocjonalną", w jakiś tam sposób modulowaną przez znaki fotograficzne. Lecz te jego „znaki" nie mają najmniejszej ochoty zorganizować chóru, włączyć się w system na zasadzie jednego z wielu elementów. Przemawiają odrębnymi głosami, pełnymi zdaniami, których czytelność niepotrzebnie zaciera mrugające czerwonawe światło, w końcu przecież bezradne wobec ich mocy. Środkowy natomiast układ, ów wianuszek małych autoportretów wokół fragmentu najcieplejszej części ciała kobiecego, zdobiący podłogę, tak wyraziście ilustruje pewne porzekadło ludu naszego, że przywoływanie go słowem wydaje się czynnością zbyteczną.

Nie uniknął Demidowski uproszczeń, naiwności, nie udało mu się chyba w pełni zrealizować zamysłu. Pokazał jednak sporo prac niewątpliwie wartościowych, poziomem przekraczających lubelskie oplotki. Aranżacja nie wyszła, fotografie wyszły — oto cała pointa sprawy Demidowskiego pod tytułem „Obnażenie".

Nie, jednak nie cała. Demidowski po raz pierwszy bowiem w Lublinie pokazał takie akty: ujawniające zmysłową urodę obszarów kobiecego ciała jakoś wstydliwie dotąd u nas nie dostrzeganych przez fotografów. Ktoś nawet zgorszył się bardzo takim widzeniem, usiłując swoją mocą urzędową przekwalifikować wystawę do rzędu faktów pornograficznych, czyli zamknąć ją, „gorszącą". Powołana w trybie doraźnym komisja, w której decydujący głos miały kobiety, orzekła autorytatywnie i na szczęście, że wszystko jest na swoim miejscu i w normie, za co jej słowa męskiego uznania. Które skierować również wypada do Wydziału Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i MDK, organizatorów wystawy.

Spora grupa premierowej publiczności opuszczała „Obnażenie" zawiedziona. Zdjęcia niezłe, fakt, ale gdzie te rzeczy, stary, gdzie? Z takich czy innych względów wystawę oglądają przecież setki ludzi, jednej niedzieli doliczono się tysiąca widzów.

IJK

Fot. L. Demidowski

ekran i estrada

Szczęśliwa „13"

Gerry Mulligan. Jeden z najwybitniejszych saksofonistów barytonowych w historii jazzu.
fot. J. Strzeszewski

TRZYNASTKA okazała się dla polskiego jazzu cyfrą szczęśliwą. XIII „Jazz Jamboree", które odbywało się w Warszawie w dniach 29—31 października, można śmiało nazwać międzynarodowym festiwalem jazzowym, festiwalem — dodajmy — stojącym na bardzo wysokim poziomie. Wzięli w nim udział czołowi przedstawiciele aż szesnastu krajów Europy i Ameryki. „Jazz Jamboree 70" było przeglądem wszystkich gatunków i kierunków jazzu, jednak dominował w nim jazz nowoczesny, wymagający i od wykonawców i od słuchaczy wysokiej kultury muzycznej. Wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania. Z jednej strony otrzymaliśmy porcję doskonałej, stojącej na bardzo wysokim poziomie muzyki, z drugiej — i ogromna Sala Kongresowa i Sala Kameralna Filharmonii Narodowej, były przez trzy dni trwania imprezy przepełnione. Co ciekawsze, najmniejszym uznaniem cieszyły się występy zespołów tradycyjnych, największe brawa otrzymywali soliści i zespoły uprawiające ów „najbardziej trudny" jazz.

W czasie tego festiwalu jeszcze raz potwierdziła się opinia, że Polska znajduje się w światowej czołówce jazzowej, że w owej czołówce mocno umiejscowili się tacy kompozytorzy i wykonawcy jak Nahorny, Trzaskowski, Namysłowski, Sadowski, Stańko, Kurylewicz, czy też doskonały kwartet wokalny „NOVI SINGERS". W ostatnich latach przejechali oni zresztą z występami Europę (a niektórzy i inne kontynenty) wzdłuż i wszerz, zdobywając na festiwalach międzynarodowych liczne nagrody. Włodzimierz Nahorny na Festiwalu Jazzowym w Wiedniu w 1967 r. otrzymał pierwszą nagrodę dla najlepszego instrumentalisty z zagranicy. Zbigniew Namysłowski uważany jest przez niektórych krytyków zagranicznych za najwybitniejszego saksofonistę altowego Europy, czołowym trębaczem europejskim jest Tomasz Stańko, NOVI SINGERS w ankiecie krytyków, rozpisanej w 1969 r. przez znany miesięcznik „Jazz Podium", uplasowali się w kategorii grup wokalnych na drugim miejscu za doskonałym trio Hendricks-Ross-Fame, ale przed nie mniej znakomitymi i sławnymi na świecie... Swingle Singers.

Dla polskiego odbiorcy, interesującego się jazzem, utwory i produkcje wyżej wspomnianych muzyków są znane — jak również dane dotyczące ich kariery artystycznej — choćby za pośrednictwem „Polskich Nagrań", które wydają od dłuższego już czasu serię longplayów z cyklu „Polish Jazz". Co do muzyków zagranicznych biorących udział w „Jazz Jomboree 70", to najciekawsze zaprezentowane przez nich utwory znajdą się w przyszłym roku na płytach przygotowywanych przez „Polskie Nagrania". Nie będę przytaczał tutaj danych o Dave Brubecku i Gerry Mulliganie, osobistościach artystycznych na miarę światową, których przyjazd do Warszawy stanowił o randze „Jazz Jamboree 70", ponieważ w polskiej prasie można spotkać na ich temat liczne publikacje. Warto natomiast wspomnieć szerzej o kilku zespołach i artystach zagranicznych, o których można się dowiedzieć tylko z zagranicznych, trudno dostępnych leksykonów jazzowych, oraz o tych, którzy, reprezentując wysoki poziom, jeszcze się nawet w takich leksykonach nie znaleźli, bo „ujawnili się" dopiero bardzo niedawno.

Jednym z najbardziej oklaskiwanych było „John Surman Trio", grupa angielsko-amerykańska, grająca w składzie: John Surman (saksofon barytonowy), Barry Phillips (kontrabas) oraz Stu Martin (perkusja). Leader grupy, 26 letni John Surman, Anglik, jest uważany za jednego z najwybitniejszych saksofonistów świata. „Kiedy się doświadczy muzyki Johna Surmana — pisze o nim jeden z krytyków — łatwo jest zrozumieć, dlaczego jest on pierwszym angielskim muzykiem nowego pokolenia jazzowego, który zyskał międzynarodowe uznanie. „The John Surman Trio", to coś więcej niż zespół jazzowy, to nowa muzyczna koncepcja wprowadzona przez trzech młodych gigantów jazzu. Rzadkie połączenie (...) doświadczeń z dziedziny jazzu, muzyki klasycznej i rock and rolla (...) dało w rezultacie pierwszą muzycznie sprawdzoną apoteozę prawdziwej „freedom music" Ich wspólne improwizacje, solowa wyobraźnia i fenomenalne opanowanie techniczne stanowią o tym, że są oni jednym z najciekawszych wydarzeń muzycznych".

Inny niezwykle interesujący zespół to „Dave Pike Set", grupujący muzyków ze Stanów Zjednoczonych, Austrii i NRF, a grający w składzie: Dave Pike (USA) — wibrafon, Volker Kriegel (NRF) — gitara, Hans Rettenbacher (Austria) — kontrabas i Peter Baumeister (NRF) — perkusja. W 1963 r. czasopismo „Down Beat" uznało Dave Pike'a najlepszym wibrafonistą świata. Trzydziestodwuletni muzyk urodził się w Detroit, naukę muzyki rozpoczął w ósmym roku życia, grał na fortepianie i na perkusji. W 1956 r. założył popularny zespół „Jazz Couriers". Współpracował następnie ze znanymi muzykami jazzowymi — Ornette Colemanem, Buddym de Franco, Dexterem Gordonem; w latach 1960—65 grał w grupie Herbie Manna. Przeniósłszy się następnie na stałe do Europy, dwa lata temu założył własny zespół, występujący najczęściej w NRF, a tamtejsi krytycy uważają go za największe wydarzenie życia jazzowego.

Z najciekawszych zespołów zachodnich wypada wspomnieć jeszcze o grupie „Phil Woods and His European Rhytm Machine". Składają się na nią: Phil Woods (USA) — saksofon altowy, klarnet, Gordon Beck (Wielka Brytania) — fortepian, Henri Texier (Francja) — kontrabas i Daniel Humair — perkusja. Phil Woods uważany jest za jednego z najlepszych na świecie altosaksofonistów, zaś jego grupa w ankiecie krytyków wspomnianego już czasopisma „Down Beat", zajęła pierwsze miejsce w kategorii „talentów zasługujących na najwyższe uznanie". Nawiasem mówiąc, grupa Phila Woodsa od chwili powstania (w 1968 r. w Paryżu) uczestniczyła we wszystkich poważniejszych festiwalach jazzowych w Europie. Trzydziestodziewięcioletni leader zespołu przez wiele lat grywał w wielkich zespołach, prowadzonych przez największe znakomitości jazzu światowego, m. in. w big-bandzie Dizzy Gillespiego oraz Benny Goodmana, z którym w 1962 r. występował w Związku Radzieckim. „Sztukę instrumentalną Woodsa charakteryzuje wspaniałe poczucie swingu i melodyki, dynamiczna ekspresja i absolutna doskonałość interpretacji".

Ewenementem tegorocznego „Jazz Jamboree" był Kwartet Jazzu Współczesnego ze Związku Radzieckiego. Ewenementem, bo, jak dotąd, zainteresowania radzieckich jazzmanów dotyczyły zawsze jazzu tradycyjnego. Grupa została założona zaledwie przed rokiem w Moskwie, a niedawno nagrała już swój pierwszy longplay. Grają jazz bardzo nowoczesny, z elementami rosyjskiego folkloru i dawnej muzyki rosyjskiej. Zespół tworzą: Wiktor Misaiłow — fortepian (leader), Witalij Szemankow — saksofon altowy, flet, Wiktor Mielnikow — kontrabas, Władimir Zasiedatielew — perkusja. Ze szczególnym uznaniem publiczności spotkała się gra Szemankowa, którego też chyba można uznać za najciekawszego muzyka kwartetu radzieckiego.

Kwartetu Jazzu Współczesnego mogła słuchać publiczność lubelska już następnego dnia po zakończeniu „Jazz Jamboree" na pierwszych Lubelskich Zaduszkach Jazzowych. Przy ogromnej frekwencji wystąpiły w „Chatce Żaka" oprócz wspomnianego zespołu także bardzo interesujący „Quinteto Cubano de Jazz" z Kuby oraz Grupa Organowa Krzysztofa Sadowskiego z wokalistką Lilianą Urbańską. Warto pomyśleć o tym, aby Lubelskie Zaduszki Jazzowe, tak jak krakowskie, weszły w przyszłości do tradycji naszego życia jazzowego.

M. D.

P.S. Z „Jazz Jamboree 70" zbiegło się pierwsze wydanie książki Romana Waschki — „Muzyka jazzowa i rozrywkowa". Jest to przewodnik, na 370 stronach znajdujemy tysiące haseł dotyczących jazzu, muzyki rozrywkowej i piosenki światowej i polskiej. Jest to też pierwszy większy przewodnik tego rodzaju, jaki ukazał się w Polsce. Wydały go „Iskry", a że w minimalnym, jak na zapotrzebowanie, nakładzie 20 tys. egzemplarzy, radzę się pospieszyć z kupnem, bo za kilka dni zniknie z półek księgarskich. Tym bardziej, że cena przystępna — 60 zł.

z bocznej trybuny

Ucieczka przed zawałem

KILKANAŚCIE lat temu prasę obiegło zdjęcie przedstawiające wysokiego, młodego mężczyznę, w czarnej marynarce, meloniku, z parasolem w jednej ręce i teczką w drugiej, biegnącego przez ruchliwą londyńską ulicę Downing. Był to Chris Chataway, wówczas jeden z najlepszych długodystansowców na świecie. Zaczynał on wtedy także robić karierę polityczną. Wiecznie zajęty, wykorzystywał zatem każdą wolną chwilę na rozruszanie się. Anglikom nie przeszkadzało, że młody polityk galopuje nie tylko po bieżni, ale i po chodnikach. Nie wpływało to na ich opinię. Dziś Chris Chataway jest ministrem w konserwatywnym rządzie Jej Królewskiej Mości.

A teraz wyobraźmy sobie kogoś na poważnym stanowisku, czy z poważnymi aspiracjami, kto biegnie o godz. trzeciej po południu przez Aleje Jerozolimskie w Warszawie, Krakowskie Przedmieście w Lublinie, przez zamojski Rynek, czy też ulicę Sienkiewicza w Kielcach — nie z powodu pośpiechu, ale dlatego, że lubi sobie pobiegać. I że robi to codziennie. O nie, proszę państwa, to byłby koniec kariery, jesteśmy narodem na serio i nie tolerujemy takiego pustogłowia.

A tymczasem lekarze i teoretycy kultury fizycznej na całym świecie nakazują dziś wszystkim zgodnie: BIEGAJ! Chcesz być zdrów? Biegaj! Chcesz mieć dobre samopoczucie, dobry sen, dobry apetyt? Biegaj! Chcesz zachować dłużej młodość? Biegaj! Na stadionie, w parku lub w lesie, nawet na ulicy — ale biegaj! Nie chodzi tu o wyczyn sportowy, o startowanie na zawodach czy połykanie kilometrów. Każdy powinien przebiec tyle i w takim tempie, na jakie go stać. Młodemu człowiekowi, który niedawno opuścił mury szkolne, przydać się może codziennie kilometrowy, czy dłuższy nawet ostry bieg. Pan w średnim wieku i z brzuszkiem zasapany będzie pewnie po 200 metrach, zgrzybiałej babuni wystarczy 20 metrowy truchcik. Osoby starsze, czy o wątłym zdrowiu, powinny się poradzić lekarza. Jeśli nie zabroni — należy biegać.

Organizm ludzki wymaga ruchu. Nasze warunki życiowe dostarczają go w pewnej ilości. Chodzimy, pracujemy, wdrapujemy się po schodach, maglujemy w środkach komunikacji miejskiej. Niektórzy z nas gimnastykują się co ranek, niektórzy grają w ping-ponga, polują, łowią ryby, chodzą na grzyby, odbywają codzienne spacery. Bardzo dobrze, na pewno sobie to chwalą. Jednakże człowiekowi, jak każdemu zwierzęciu, potrzebna jest także odrobina szybkiego ruchu, przy którym pracowałyby mocniej wszystkie mięśnie i narządy wewnętrzne i szybciej krążyłaby krew.

Oczywiście siatkówka, koszykówka, narty, łyżwy czy pływanie zapewniają nam taki ruch. Ile osób jednak uprawia systematycznie sport, nawet taki niewyczynowy? Nie ma możności ani u nas, ani w bogatszych krajach zbudowania tylu urządzeń, by każdy mógł uprawiać stale sport. Gdyby nawet były, to i tak tylko pewien procent chciałby ćwiczyć o określonej godzinie, z określoną grupą ludzi. Biegać zaś można samemu, wtedy gdy przyjdzie nam na to ochota i tyle, na ile mamy chęci i siły. Idziemy na spacer i robimy sobie te 100—200 metrów biegiem; zmęczyliśmy się, więc dalej idziemy wolno; odpoczęliśmy, więc znów 100—200 m biegiem, a może nawet nie tyle, może 50—100 truchtem. Bieganie ma nie mniejszą wartość zdrowotną niż koszykówka czy inny sport, a nawet większą. (Nie bez kozery biegi trenują wszystkie armie świata). A jeśli jeszcze podskoczymy kilka razy w górę, kilka razy do przodu, na pewno da nam to wiele. Po miesiącu czy dwóch poczujemy się zupełnie inaczej. Panie — UWAGA! — zaobserwują u siebie szybką poprawę cery i poprawę linii (mimo zwiększonego apetytu).

Bieganie, takie właśnie dla siebie, staje się w wielu krajach bardzo popularne. W parkach wydziela się specjalne trasy dla biegających. Biegają codziennie rano i prezydent Finlandii, i król Szwecji i Charlie Chaplin, Jean Marais, Michele Morgan... Wiosną, latem, jesienią i zimą. No, często nie jest to bieg, tylko skromny, króciutki truchcik, jednakże na pewno przynosi efekty.

Narzekając słusznie na za małą bazę lokalową dla naszego sportu wyczynowego, nie możemy powiedzieć, że brak nam miejsc do takiego „przebiegania". Małe miasta, dzielnice domków jednorodzinnych, a nawet niektóre nowe dzielnice mieszkaniowe (typowy przykład: LSM) mają ich aż nadto. Problem leży więc nie w bazie, a w świadomości. Puśćcie wariata, niech se polata — mawiało się dawniej na wsi. Dziś we wsiach działają LZS-y i bieganie mniej gorszy. W miastach (o paradoksie!) — nadal. Szybko chwytamy światowe nowinki. Może i ta moda przyjmie się u nas. Na razie jednak możemy sobie stanąć na Krakowskim Przedmieściu i popatrzeć, jak 18-letnie dziewczęta biegną te 15 metrów do trolejbusu, stylem rozpaczliwym, rzucając nieprzytomnie rękami i nogami na boki. Bledną wobec tego medale olimpijskie.

R. W

Przejmujący autoportret

Dokończenie ze str. 1

nymi czynami i gestami dokumentował, że pozostała ona ojczyzną prawdziwą i jedyną. Na gruncie warszawskim przystał do kręgu Czechowicza, o czym pisał szeroko w „Cyganerii", wieloletni pobyt w Łodzi uważał za konieczność. Na krótko przed śmiercią, w rozżaleniu, napisał w liście o „przeklętej Łodzi, mieście, które zrujnowało mi życie". A wcześniej jeszcze, wspominając pobyt w Nałęczowie, wyznawał: „Wyobrażam sobie, jak pięknie tam jest. Żałuję, że jestem tak daleko i w tak ponurym mieście. Ale skazano mnie na niego i tu pewnie polegnę — wbrew swej woli". Starał się stamtąd wydostać, wywikłać, zamierzał nawet przenieść się do Lublina, podjął starania o przeniesienie do Lubelskiego Oddziału Związku Literatów „To pierwszy krok — pisał — do powolnej likwidacji swego życia w Łodzi".

2.

Książki Mrozowskiego, o których poprzednio wspomniałem, nie wymagają napisania zwykłej recenzji, raczej zachęcają do poświęcenia im jakiegoś szkicu z próbą narysowania portretu Mrozowskiego jako poety. Odłożyć to jednak trzeba do innej okazji, na tym zaś miejscu chcę zwrócić uwagę na niektóre tylko cechy jego twórczości i to takie, które ujemnie zaważyły na poecie, już u samego początku skazały go na pozostawanie w cieniu Czechowicza. O tym zresztą wspomnę nieco później. Przede wszystkim bowiem chciałbym przypomnieć Mrozowskiego jako człowieka, bowiem — żyjąc przez wiele lat na uboczu — przedstawiał się ludzim często w innym świetle, odmienny, niż był naprawdę. Nie o wspomnienie będzie chodzić, do tego nie czuję się powołany. Kilka spotkań i rozmów w Łodzi, wiele tygodni nałęczowskich, kiedy przebywał w uzdrowisku a potem prywatnie po zawale serca i codzienne niemal gawędy, to jednak za mało, by kusić się o utrwalanie tego na piśmie.

W ostatnich latach, tak się złożyło, sprawy związane z powstawaniem Muzeum Czechowicza, wymagały częstych kontaktów z Wacławem Mrozowskim, a odbywały się one najczęściej na drodze listownej. Toteż w tych z górą czterdziestu listach i kartkach Mrozowski wypowiadał się nie tylko o głównym przedmiocie korespondencji, ale poruszał wiele innych spraw. Pióro miał do pisania listów chętne, impulsywne, toteż z różnych jego wypowiedzi dałoby się ułożyć bardzo ciekawy, mozaikowy autoportret.

Daruje więc czytelnik, że tak często będę sięgał do tych listów, ale wydaje mi się, iż one więcej powiedzą o autorze, o jego sprawach, o odczuwaniu świata, niż opowiadanie, co w nich jest. Ważne jest to tym bardziej, że Mrozowski przez przeszło dwa lata żył ze świadomością porażenia śmiertelną chorobą, która położyła się ciemnym pasmem na ostatku jego życia. Wtedy nachodziły go refleksje nad swoim życiem, wychodziły spod pióra takie strofy:

Cóż odpowiedzieć nocy czarnej
ma czarny człowiek, z czarną duszą,
czujący czarny chłód cmentarny,
którego rzeczywistość kruszy.

Korespondencja moja z Mrozowskim zaczęła się jakoś z początkiem 1965 roku. Wówczas jeszcze wyjeżdżał na spotkania, wpadał do Lublina, ale choroba ujawniła się już w ostrej postaci i odtąd czas pisarza dzielił się między dom i szpitale. W maju 1965 pisał w jednym z listów: „Operacja w Łodzi się udała, ale rak zrobił dalsze spustoszenia w krtani i teraz muszę powoli dogorywać. Męczy mnie to wszystko, dobija kompletnie i wytrąciło pióro z ręki". A wtedy właśnie Mrozowski znajdował się w okresie wielkiej aktywności pisarskiej. Była „Cyganeria", wspomnienia z Dolnego Śląska, wybór wierszy, antologia lubelskiej poezji międzywojennej, Barleycorn. Ten ostatni ukazał się tylko w kształcie poetyckim, bo Mrozowski zaczął pisać pamiętnik zatytułowany „Z Barleycornem przez życie". W planach znajdowała się także książka „Miasto, które kocham" — o Chełmie lat 1915—1935. Poza tym — to znowu z listu: „Dłubię w dzienniczkach szpitalnych. Sporo materiału autobiograficznego na przyszłość".

Poczucie uciekającego coraz szybciej czasu, powiększanie się odległości między zamiarami a możliwościami, rzutowało bardzo na stan wewnętrzny. Nastąpiły ograniczenia spowodowane chorobą. „Alkohol i nikotyna w odstawce i to też pogarsza samopoczucie". Zdrowie stale się pogarszało, następowały przerzuty nowotworowe: „potworne bóle kości szczękowych — stąd stale narkotyzowanie się novalginą i stały rausz — niemal poalkoholowy". Świadomość nieodwracalnych skutków choroby miał Mrozowski od początku. Pisał jeszcze w 1965 roku:

„Czuję, że będę miał ograniczoną swobodę poruszania się, kontaktów osobistych, włóczęgi po prowincji, która mnie urzeka... Zamknięcie w czterech ścianach, samotność w moim przypadku przy tej przeklętej chorobie popromiennej nie sprzyja niczemu. Pragnienie ciemności ogarnia coraz bardziej. Chwilowe podniecenie, wybuch porannej radości, uśmiechu — szybko znika i pozostaje wieczny osad niedosytu lat minionych i potworny lęk przed tym, co będzie jutro, pojutrze".

„Zniża się wieczór życia mego" — parafrazował w jednym z listów słowa Czechowicza z „żalu". Nie stało już sił na trzymanie pióra w ręku. Jeden list powstawał, z przerwami, cały dzień. Cierpienia nasilały się, przestało działać znieczulenie. Bóle sprawiły, że — by użyć słów Mrozowskiego — był już „półwariat i bliski wścieklizny". „Jeśli cierpienie — pisał — jest patentem na człowieka, ja go (ten patent) zdobyłem po trzykroć". I dalej: „moje nerwy już są porwane na strzępy. I sam jestem, po wszystkim co przeszedłem, strzępem człowieka. Ale dobrym strzępem. Norwid miał rację podbudowaną swym tragicznym życiem, że:

z rzeczy świata tego ostaną
tylko dwie —
dwie tylko: poezja i dobroć...
i więcej nic.

Chciałbym, aby po mnie został chociaż jeden wiersz i wspomnienie przyjaciół. Bo, Bóg mi świadkiem, byłem dobry, choć często niesprawiedliwy w swych sądach".

Było w Mrozowskim wiele optymizmu i siły organicznej, że tak długo nie poddawał się śmiertelnemu wrogowi. Po okresach depresji i beznadziei odzyskiwał ufność co do przyszłości, ale przyszedł czas, że musiał się wyzbyć wiary i nadziei na polepszenie. Na parę miesięcy przed śmiercią zawarł w liście następujące wyznanie:

„Nic nie robię, nic nie piszę, nie czytam. Jakiś schyłkowy czas nadszedł mnie chmurą. Atmosfera szpitala już nie dla mnie. A co w ogóle jeszcze dla mnie na tym świecie?" Wówczas rodzi się poczucie żalu i pragnienia, by czas się cofnął, by karty życia jeszcze się odwróciły: „Co bym dał za to, żeby cofnąć ostatnie dwa lata swego tragicznego życia i był jak dawniej w pełni sił."

Oprócz zmartwień i cierpień spowodowanych stanem zdrowia, nachodziły Mrozowskiego niewesołe myśli o jego sytuacji jako pisarza. Odczuwał mocno obojętność świata literackiego i krytyki wobec tego, co pisał, miał poczucie wielkiej krzywdy. Kilkakrotnie o tym wspomina, najwyraźniej w liście pisanym przy okazji wydawania tomu „Z Johnem Barleycornem":

„Gdybym nie pisał po polsku, ale np. po francusku czy niemiecku, tłumaczenia byłyby na wiele języków. A tak nawet w kraju znają mnie wtajemniczeni. Niech Pan nie posądzi mnie o megalomanię, nic z tych rzeczy. Zna mnie Pan trochę. Przemilcza się mnie rozmyślnie, z premedytacją, kopie doły i spycha w przepaść. Nie dbam o to. Nigdzie nie drukuję i nie posyłam wierszy. Nikt się o mnie nie upomni i... „czekam zgonu i drżę"...

Przypisywał część winy i sobie, swej otwartości i mówieniu prawdy wprost: „Ja nigdy nie miałem na twarzy maski. I dlatego jest mi może tak źle na tej ziemi „dobrej i złej, ale szczęśliwej".

Rozmyślania o swej sytuacji nie dostarczały więc powodów do radości. Bilans życia nie wypadał dodatnio. Już dawniej w jednym z wierszy wyznawał, że żył nie tak jak chciał. Zresztą wystarczy przypomnieć sobie te wszystkie obrachunki, jakich dokonywał poeta w ostatnim swoim zbiorze poetyckim — „Z Johnem Barleycornem".

3.

Nie ulega wątpliwości, iż w tomie tym mamy do czynienia z najlepszą książką Mrozowskiego. Taka sama była ocena autora: „ten cykl jest dla mnie najbliższy i co tu dużo mówić — to są najlepsze moje wiersze, choć wymowa ich nie każdemu przypada do gustu". To prawda. Poza tym — tylko jedną taką książkę można napisać bez powtarzania siebie. Najgorsza jednak rzecz w tym, że trzeba było za nią płacić całym swoim życiem.

A przecież mogło być inaczej. Pierwszą książkę poetycką Mrozowskiego Karol Wiktor Zawodziński przyjął przychylnie, dostrzegając u młodzieńczego wówczas autora talent o dużych możliwościach. Poetyka Mrozowskiego początkowo wywodziła się z patronatu K. A. Jaworskiego. Autor „Mostów nad życiem" wyszedł bowiem z chełmskiego Seminarium Nauczycielskiego, gdzie Jaworski był jego nauczycielem, a kolegami po fachu poetyckim byli m.in. Jan Szczawiej, W. Kasperski i Z. Popowski. Po wydaniu „Dobranoc... dobranoc..." Zawodziński obstawał przy wierze w poezję Mrozowskiego, z tym że wytykał już ulegania niebezpiecznym wpływom nowych uroków. Chodziło oczywiście o Czechowicza.

Nie mylił się Zawodziński. Można powiedzieć więcej. Wpływ Czechowicza zwichnął cały dorobek poetycki Mrozowskiego. Urzeczenie osobowością Czechowicza w stosunkach osobistych, czemu dawał wyraz na wielu kartach „Cyganerii" przenosiło się na zależność w praktyce twórczej. Już w „Dobranoc... dobranoc" Mrozowski dał wiele wierszy, które stanowią replikę niektórych utworów Czechowicza. Nawet tytuły na to wskazują: „Poeta", „W przeczuciu śmierci", „Widzenia", „Sen", „Matka mówi", „Miasto rodzinne", „Dawne", „Wspomnienie". Weźmy parę linijek z wiersza „O śmierci (z innego zresztą tomu):

w tańczących ogniach koń
źrebię stojące u wrót,
w źródełku wodę staruszka czerpie
i noc, ta noc pełna złud,
wieńczona, wieńczona, wieńczona.

Z wiersza „Zbłąkanie":

motyle nad głową krążą,
biją skrzydłami o brwi —
...maleńki, mam cię już, mam,
ty śnisz, o liryce śnisz...

W sposób oczywisty widać, że cała poezja Czechowicza była dla Mrozowskiego swoistym tworzywem. Pisał wiersze o podobnej, co i u mistrza tematyce, naśladował układy kompozycyjne i składniowe; podrabiał rytmikę, przejmował chwyty artystyczne. Przede wszystkim zaś włączał do swoich wierszy obrazy wyjęte żywcem z wierszy Czechowicza, posługiwał się znamiennymi dla Czechowicza słowami lub na nowo wprowadzonymi przez niego. Po prostu z tekstów Czechowicza układał nową mozaikę.

Ten ujemny wpływ Czechowicza działał i po wojnie, szczególnie jaskrawo widoczny jest w cyklu wierszy o miasteczkach Dolnego Śląska, gdzie Mrozowski powtórzył wszystkie sposoby, jakimi Czechowicz budował lubelskie pejzaże. Mrozowski, i nie tylko on, był adresatem licznych i ostrych wyrzekań Czechowicza na swoich naśladowców.

A przecież — powtarzam — mogło być inaczej. Świadczył o tym nie tylko punkt wyjścia, niezależny od autora „nuty człowieczej". Także miejsce, do którego Mrozowski doszedł. W zbiorze „Z Johnem Barleycornem" Mrozowski odnalazł się jako poeta, dał wstrząsający autoportret, dokument ludzkiej egzystencji, trwały dokument poetycki.

Tadeusz Kłak

Wacław Mrozowski: Spojrzenie wstecz. Wyboru dokonał J. Jarmołowski. Łódź 1970 Wydawnictwo Łódzkie.
Wacław Mrozowski: Tu pod każdym kamieniem moja młodość leży. Lublin 1970, Wydawnictwo Lubelskie.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Niezawodny K. Ł. z Bielawy serwuje nam „Treny na odejście Julii z własnej woli rozwódki":

Zostawiłaś
kapcie z pomponem
różowym jedynym
dziesięciogroszówkę
i kolateczkę czyli koziołek
do bettania rzadkiego
ciasta
naleśniki z serem bowiem
jak wierzyłaś wstydliwie
budziły we mnie
męskość.
Nie ma
dzień sensu
ani noc litości
dla tego
kto po raz pierwszy
od miesięcy wielu
nie został zmieciony
odnóżem
z pościeli
w porze schodzenia
po rogali kruchość-
i butelki z mlekiem.
Przywieźli
do sklepu
połacie słoniny ogromne
spojrzałem
coś drgnęło
w milczeniu odszedłem
jak żebrak.
Zniknij
z mej pamięci
stokrotko zwiędła
oto nadszedł czas
Izabelli
z trzaskiem
klepek dębowych
jedwabi cienkich
dymią ziemniaczane placki
na rzepaku
lubczyk się warzy
żegnaj przeszłości
niem-ęska.

Wyobraźnia nasza wyczarowuje postać adresatki tych wierszy, obraz krępej blondynki przy kości, która swą przyciężkawą kobiecością, odzianą w egoizm, materializm i brak wrażliwości, zniszczyła lirycznego bohatera strof owych. Nie jesteśmy wszelako przekonani, czy zamiana Julii na Izabellę oraz naleśników na ziemniaczane placki wyjdzie mu na dobre. Tak lub owak — jest to zwycięstwo optymizmu nad doświadczeniem.

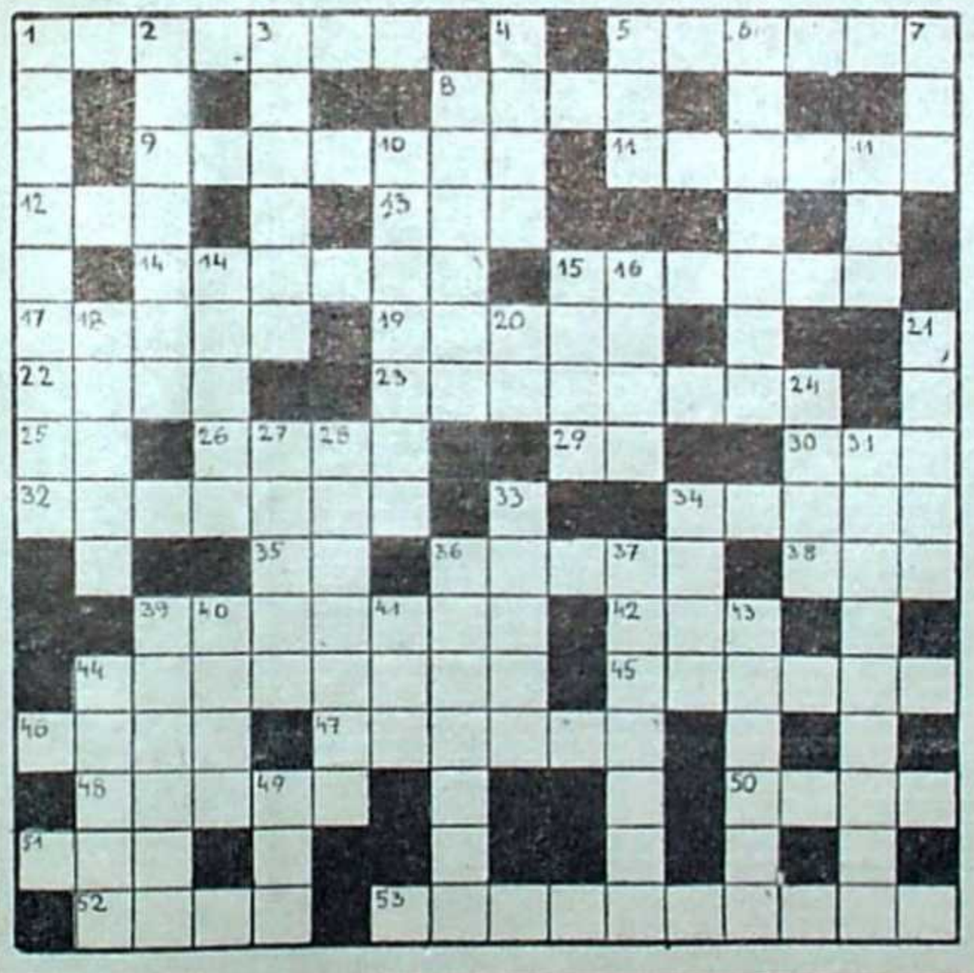

Krzyżówka nr 22

POZIOMO: 1. słowo z następnego hasła 5. wybitny polski kompozytor, którego konkurs odbył się ostatnio w Warszawie, 8. zwierzę hodowlane, 9. strzeżenie, 11. pozostałość z dawnych czasów, ostaniec, 12. półduch z mitologii germańskiej, 13. kompozytor rosyjski z grupy „potężnej gromadki", 14. pianista amerykański, zdobywca IV nagrody w Konkursie Chopinowskim, 15. rodzaj kary pozbawienia wolności, 17. miasto przy ujściu Tybru, 19. drużyna, zespół, 22. zachodnioberlińska rozgłośnia radiowa, 23. najlepszy z Polaków na Konkursie Chopinowskim, 25. symbol pierwiastka o liczbie atomu 49, 26. hełm, 29. śpiewane a, 30. turecki dowódca, 32. występuje na scenie, 34. surowiec na barszcz, 35. staroegipski bóg, 36. wielka rzeka w ZSRR, 38. liczebnik, 39. jurysta, 42. miara czasu, 44. hurtownik, 45. niepodpisany list, 46. kwiatostan traw i zbóż, 47. prawy dopływ Bugu, 48 miasto w CSRS, które daje nazwę górom, 50. tytułowa postać opery Borodina, 51. rodzaj wierzby, 52. lipcowa solenizantka 53. polski pianista, najmłodszy finalista Konkursu Chopinowskiego.

PIONOWO: 1. klasa, gatunek, 2 nowonawrócony na jakąś religię, 3. japońska pianistka, zdobywczyni II miejsca na Konkursie Chopinowskim, 4. rzeka z gwizdanej melodii, 5. słowiański cesarz, 6. amerykański pianista, zdobywca I nagrody w Konkursie Chopinowskim, 7. łączy dwa przedmioty, 8. zastępuje skarpetkę, 10. polski malarz — prymitywista, 11. zwierzę domowe, 14. miasto nad Sanem, 15. wezwanie, 16. rakieta, 18. zmarły przed czterema laty wybitny polski filolog klasyczny, 20. symbol pierwiastka chemicznego 1, at. 3 (wspak), 21. wielkie miasto portowe w Japonii, 24. angielska miara długości, 27. tkanina dekoracyjna, 28. miasto pod Krakowem znane z huty aluminium, 31. pianistka radziecka, zdobywczyni V miejsca w Konkursie Chopinowskim, 33. wystawa, ekspozycja, 34. batalion, 36. dawna nazwa kwasu siarkowego, 37. imię założyciela gimnazjum Staszica w Lublinie, 39. C_4H_6 40. skroplona para, 41. marka motocykli niemieckich, 43. ostatnie słowo w książce, 44. na karku, 49. przepływa przez Bory Tucholskie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 21

Poziom: Kruczkowski, Orkan, szermierka, twaróg, Pawie pióra, ar, dyna, pejzaż, aneksja, wosk, skurcz, wino, hamak, Ra, Adam, tron, nimb, kielnia, Odwety, Al, zupa, miara, ucha, saga, lary.

Poziomo: list, kremacja, Cui, Kordian i cham, wiatrak, kopa, Ir, margines, Śniszek, warsztat, Rudawy, prawnik, kwadryga, Sokal, Urania, Zambezi, kreda, dialog, Niemcy, Ewa, opal, il, As, Ur.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 21 nagrody wylosowali:

Mirosława Jasińska, Ełk, ul. Armii Czerwonej 25/11, Stanisława i Władysław Koselscy, Wierzbica-Kolonia 70, pow. Szydłowiec, woj. kieleckie, Bohdan Bieńkowski, Lublin, Droga Męcz. Majdanka 13 m. 1, Maria Szklarczyk — Warszawa, ul. Mycielskiego 22 m. 1.

W poprzednim numerze „Kameny" znów chochlik drukarski przypomniał o swoim istnieniu. Jacek nie zastąpił Ijona, a Ijon Jacka: felieton pt. „Hajże do długopisów" wyszedł spod pióra Ijona, a „Skorzonera raz!" — Jacka. W podpisie pod zdjęcie na 1 stronie oczywiście powinno być „53 rocznica". Pawło Tyczyna (3 str.) jest m. in. autorem „Pługu" (nie „Pług"). Przepraszamy.

Listy do KAMENY

Filmy rolnicze

V Festiwal Filmów Rolniczych w Lublinie, który miałem okazję obserwować, potwierdził prawdę znaną z poprzednich imprez, a mianowicie stosowanie przez realizatorów pokazanych filmów dość przestarzałego języka filmowego, co pozbawia te dydaktyczne w przeznaczeniu obrazy odpowiedniej atrakcyjności. Nie chodzi przy tym o to, żeby wprowadzać chwyty znane z „nowej fali", bo to i bezcelowe i chyba niemożliwe. Ale trzeba zdać sobie sprawę, że w filmach tego typu nie wystarczy nudnawe opowiadanie o odchowalniach piskląt czy mechanicznym zbiorze słomy po maszynach (...). Wydaje się, że przyczynami takiego stanu rzeczy jest lekceważący na ogół stosunek samych filmowców do wiadomej tematyki i gatunku filmowego. Każdy bowiem student Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej w Łodzi marzy o wielkiej twórczości w „fabule", jako klęskę losową traktując konieczność pracy w produkcji filmów oświatowych czy dokumentalnych. Stało się przy tym zasadą, że każdy reżyser — dokumentalista, który zdobył rozgłos, rychło trafia do filmu fabularnego.

Andrzej Zieliński
Warszawa

„Jelenie" na estradzie

Pisze ten krótki list na marginesie felietonu z cyklu „Ekran i Estrada", który się ukazał w nr 22 „Kameny". Tępimy szmirę w plastyce, te różne jelenie na rykowiskach, a nie widzimy, że pod bokiem, obwarowana przepisami, zezwoleniami itp., wyrosła nam nowa szmira, jeszcze bardziej groźna, bo masowa. Myślę o poczynaniach lubelskiej „Estrady", placówki powołanej przecież do szerzenia dobrej, kulturalnej rozrywki. Najulubieńszą formą „Estrady" są teraz imprezy big-beatowe lub własne imprezy operetkowe, jakby zachodziła potrzeba dublowania operetki. Widowiska big-beatowe są szkołą złego gustu. Powszechnie wiadomo, że jakość muzyczna tych widowisk jest żadna (piekielny hałas, zagłuszone piosenki). Nawet dobre zespoły tego typu tracą wiele na estradzie. Zespół mocnego uderzenia na żywo nadaje się do przygrywania w młodzieżowym „non stopie", gdzie panuje specyficzna atmosfera, ale nie na koncert. Dlatego z dwugodzinnego grania nawet najlepszego elektrycznego zespołu wychodzi jedynie szmira.

Andrzej Marczyński
Lublin

O, piękna Galateo, ratunku!

Obejrzałem „Mały Festiwal" zorganizowany przez lubelską „Estradę". I o jednym tylko spektaklu chcę wypowiedzieć moją opinię. Myślę o „Pięknej Galatei". „Dzieło", które jeszcze jako tako sprawdza się na scenie operetki, nie zdaje egzaminu na estradzie. Znanym aktorom operetki lubelskiej wyrządzono, moim zdaniem, moralną krzywdę, angażując ich za mamonę do tak niesmacznego przedsięwzięcia. Kiczowaty bryk, zamiast orkiestry — pokraczny zespolik muzyczny, gierki pod publiczkę godne Dużego Klaja, a nie bądź co bądź ćwierćmilionowego miasta. Jeżeli lubelska „Estrada" nie ma autorów, piosenkarzy, muzyków, estradowców z prawdziwego zdarzenia, powinna ograniczyć się do roli agencji pośredniczącej przy kupnie-sprzedaży programów innych, ambitniejszych „Estrad", a nie kompromitować bzdurnymi „widowiskami własnymi" naszego miasta, które i tak cierpi przecież troszkę na kompleks prowincji.

Stanisław Zawadzki
Lublin

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-81, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2818. 4.11.70 6800. Z-3

Requiem dla gazowni

W NIEDZIELĘ 18 października 1970 roku, we wczesnych godzinach rannych, dwaj piecowi, Kazimierz Krysa i Kazimierz Kleban, załadowali 5 300 kg węgla wsadowego do czterech komór Gazowni Miejskiej w Lublinie. Potem przyszedł do nich kierownik produkcji inż. Konrad Bąkowski i powiedział: „No to koniec, panowie, więcej nie ładujemy. Jak się to wypraży, wykładujecie koks. To wszystko. Dziękuję za współpracę".

— Aż mnie coś za serce ścisnęło, jak pomyślałem, że to już naprawdę koniec, choć przecież zapowiedziano to dawno — wspomina Krysa. — Uścisnąłem rękę inżynierowi, zupełnie jakbyśmy się rozstawali na zawsze, choć będę tu pracował dalej.

Tego dnia wieczorem komin lubelskiej gazowni przestał dymić. Sieć miejska przeszła całkowicie na zasilanie gazem ziemnym. Wyjątek stanowiła ulica 1 Maja, która do 26 października dopalała jeszcze resztki zapasów: 6 tys. metrów sześciennych ze zbiornika rezerwowego i te 1749 m sześć. z ostatniego wsadu. Gazownia Miejska w Lublinie, jedna z najstarszych w Polsce, zakończyła swą działalność. Zakład ten dobrze zapisał się w kronikach miasta, dostarczając swym odbiorcom taniej, wygodnej w eksploatacji energii.

Na gazie nie tylko gotowano i nie tylko opalano nim mieszkania. Starsze pokolenie lublinian pamięta doskonale, jak gazem oświetlano mieszkania, gmachy publiczne (dworzec kolejowy, teatr, poczta, łaźnia), a także ulice, z czym związana była barwna postać latarnika miejskiego, wieczorem kolejno zapalającego, a rano gaszącego lampy uliczne. Gaz wykorzystywany był również dla celów przemysłowych.

Niestety, możliwości produkcyjne gazowni pozostawały daleko w tyle za potrzebami miasta. Gazownię zbudowała spółka prywatna, założona pod firmą budowniczego inż. Suligowskiego. Uruchomienie jej odbyło się 20 listopada 1882 roku. W przeciwieństwie więc do większości podobnych przedsiębiorstw zorganizowanych w owym czasie na ziemiach polskich, zakład lubelski powstał bez udziału kapitału obcego. W roku 1922, zgodnie z warunkami koncesji danej spółce, zakład przeszedł na własność miasta. Zbudowano wtedy nowy komin, zaś w 1925 nową piecownię, odstarczalnię, aparatownię i zbiornik gazu. Zachowało się zdjęcie głównych autorów i kierowników owej rozbudowy gazowni. Kilkunastu panów w czarnych żakietach i melonikach, a u ich stóp tablica z napisem: „Konstrukcje żelazne wykonała spółka akcyjna Gniazdowski i Janiszewski, Lublin, Bychawska 73, tel. 242."

Gwałtowny rozwój miasta po II wojnie światowej wymagał dalszej rozbudowy gazowni. Dokonano tego po roku 1950. Moc zakładu wzrosła dwukrotnie. Na przełomie lat 1966/1967 gazownia osiągnęła produkcję 20 000 m sześc. gazu na dobę. Dla ciekawych, ile potrzeba było do tego węgla, podam, iż ze 100 kg węgla uzyskiwano 42 m sześc. gazu oraz 75 kg koksu i 3 kg smoły — bo i te dwa produkty uzyskiwano dodatkowo.

To wszystko było mało. Odbiorcy gazu pamiętają, jak nikły płomyk trzymał się na ich palnikach i jak często zanikał zupełnie. Był to w dodatku gaz niskokaloryczny. Trudno na nim coś ugotować, ciepła kąpiel możliwa jedynie w godzinach nocnych. Od dawna więc mówiło się o konieczności doprowadzenia do Lublina gazu ziemnego. Inwestycja taka jest bardzo kosztowna. Przyśpieszyła ją jednak budowa gazociągu do Puław. Cztery lata temu przewód doprowadzono i do Lublina. W miarę dostarczania odbiorcom gazu ziemnego, w gazowni zaczęto redukować produkcję miejscową. Gdy w okresie 1966/67, co 12 godzin załadowywano węglem 14 komór, to ostatnio już zaledwie raz na dobę 4 komory.

Przejście na gaz ziemny to także usunięcie komina, który zadymiał dzielnicę dworcową nieprzerwanie od blisko 90 lat, z wyjątkiem 3 tygodni w roku 1939, kiedy to zakład został zbombardowany 9 września. Zginął wówczas na stanowisku gazmistrz Edward Dzierżyński, uszkodzone zostały sieć i komin. W czasie wojny produkcja nie wzrastała, natomiast wzrosło zatrudnienie, dzięki czemu uchroniono pewną ilość osób od wywiezienia na roboty do Niemiec. W lipcu 1944, w czasie działań wojennych, gazownia została znów uszkodzona, lecz już 1 sierpnia wznowiła produkcję, dostarczając swoim 1319 odbiorcom 1378 m sześc. gazu w ciągu doby.

Gaz ziemny jest dla Lublina perspektywą szybkiego pozbycia się z mieszkań kuchni węglowych. Dotychczas bowiem podłączanie nowych abonentów ograniczone było nie tyle brakiem dostatecznej ilości przewodów, ile mocami produkcyjnymi gazowni. Obecnie ten problem nie istnieje. Dziś w Lublinie jest już około 22 tys. odbiorców gazu; zużywają oni około 20 tys. m. sześc. na dobę. Plany przewidują, że w roku 1975 będzie ok. 40 tys. odbiorców, zużywających ok. 60 tys. m. sześc. gazu na dobę. Zakład lubelski przeszedł z resortu gospodarki komunalnej do resortu górnictwa i energetyki. Nowy resort jest bogatszy, w najbliższym czasie rozpocznie budowę obwodnicy gazowej wokół miasta, która zapewni wszystkim odbiorcom jednakowe ciśnienie w ich paleniskach. Gazownicy lubelscy przenoszą się też z ciasnych klitek zajmowanych obecnie do nowo wznoszonych budynków administracyjnych i technicznych.

A mimo to ostatnia zmiana załogi w Gazowni Miejskiej żegnała się ze sobą z prawdziwym smutkiem. Inżynier Bąkowski pracuje na swym stanowisku 29 lat. Piecowy Krysa — 17, Kleban — 13. Praca przy piecu jest ciężka, pewnie jedna z najcięższych prac fizycznych jakie w ogóle są. Krysa jest tak zwanym chłopo-robotnikiem, mieszka w jednej z podlubelskich wsi. Teraz wraz z 22 innymi pracownikami produkcji ma przekwalifikować się na montera. Będzie miał zajęcie lżejsze, a upomnienie to samo. Jednak sentymenty rośnią swoje. Tu, w tym zakładzie z długimi tradycjami, przywiązanie do warsztatu jest duże. Nie ma problemu płynności kadr. Dyrektor Aleksander Szymański pracuje już 22 lata, co w naszych warunkach jest okresem zbliżonym do rekordu. Monter Mieczysław Czyż i palacz kotłowy Józef Banaszek mają 29-letnie staże. Emeryci, gazmistrz Kazimierz Łyka i palacz Jan Parakowski, pracowali jeszcze dłużej. Emeryt Jan Ber miał przodków, którzy byli przy produkcji pierwszego metra gazu w roku 1882, dziś pracują jego potomkowie.

Aleksander Andrzejak, kierownik działu sieci gazowni, napisał na jej temat pracę magisterską. Jest to rozprawa o charakterze ekonomicznym. Jeśli któryś ze studentów historii czy socjologii zechce napisać o gazowni pracę w swojej specjalności, będzie miał wdzięczny temat. Warto chyba też, aby w muzeum lubelskim znalazło się trochę pamiątek związanych z dziejami tego zakładu, przez 88 lat tak wtopionego w krajobraz miasta, a dziś już zamartego, bo obecna dostawa gazu to zupełnie co innego, nawet nazwa przedsiębiorstwa jest (całkiem słusznie) inna. Naszym dzieciom i wnukom należy się możność zobaczenia choćby jak wyglądała zwykła uliczna latarnia gazowa, blask której rozpraszał przez tyle lat mroki ulic dawnego Lublina.

Romuald Wiśniewski

MINUTA MYŚLENIA

Okazja i styl

HAMILTON po raz trzeci (Kultura", nr 43) w formę felietonu ujął nekrolog. Pierwszy raz uczynił to z powodu śmierci Szeląga, drugi — anonima, obecnie — Przybosia. Osobliwości dodaje fakt, że w post scriptum przy ostatnim polemizując ze swym czytelnikiem powołał się na nadtytuł swych felietonów, przypominając go jako wyraz nie do pominięcia, dla rozumienia wymowy poszczególnego odcinka: „Perswazje". Co w wypadku tych trzech śmierci Hamilton pragnie wyperswadować? I komu? Śmierci do swych czytelników chyba nie zalicza.

Ale myliłby się z kolei czytelnik tych słów, gdyby je chciał przyjąć w sensie wyłącznie ironicznym, albowiem śpieszę z wyjaśnieniem, że podobne inkongruencje nagłówkowo-tematyczno-stylistyczne wcale mi nie przeszkadzają felietonów Hamiltona czytać z dużym zainteresowaniem. Ostatecznie nie jedną scenę dałoby się wykreślić z „Nocy i dni" Dąbrowskiej, passus o Belli Bartoku nie całkowicie tłumaczy się w poemacie o pracy i pokoju „Przez świat idące wołanie" Gałczyńskiego, a przydługie rozważania toponomastyczne nie uwierzytelniają mi i tak słusznego sądu Wyki w jego artykule o „Bołdynie" Putramenta.

Niezależnie więc od żartobliwego spostrzeżenia myślę, że warto zauważyć pewną metyzację gatunków czasopiśmienniczych, jak widzi się ją na terenie gatunków literackich. Co dzisiaj znaczy powieść? To samo dzieje się z pojęciem reportażu. To samo — felietonu. Ulegają odkształceniu od swej klasycznej postaci stylistyczne naczynia, w których dzisiejszemu czytelnikowi prezentuje się dzisiejsze treści. Pozostają nawet pewne kanony — nierzadko przewrotne i sowizdżalskie — wynikłe z potrzeby niejako generalnego zakwestionowania kategoryczności gatunku. Janusz Głowacki uprawia swoje jakże zjadliwe satyry w terminologii i konwencji wprost pełnu. Wszystko to świadczy, że zabawa mieszania gatunków coraz wyraźniej wkracza na teren czasopiśmiennictwa, a niekiedy i nawet zwykłego dziennikarstwa.

Zabawa? Znów nie chciałbym zbyt niefrasobliwym określeniem ujmować poważnego zjawiska i znów mam na to szacowne przykłady z klasycznej literatury. Ostatecznie „Uciekła mi przepióreczka" ma w podtytule wyraz „komedia", Balzac takim samym wyrazem ujmuje ziemskie, a Dante pozaziemskie perypetie swoich bohaterów. Czyli nie wszystko, co potrąca o lekkość i swobodę odpada od poważnego stawiania sprawy, jak nie wszystko, co przywdziewa na się maskę Immanuela Kanta kwapi się do rozmyślań o istocie poznania. Wyczuwa się nawet, że ta walka „mniej oficjalna", „nieobowiązująca", przy bocznym stoliku, nie przy głównym biurku atmosfera intelektualna ma na celu ośmielenie nowych form kulturalnego współżycia. Które by nigdy nie weszły, gdyby nie poczuły dla siebie terenu przygotowanego przez zastosowanie mniej rygorystycznych wymagań. Me tei — mon Dieu — coś i o niedostatkach tematu w naszej publicystyce należy wspomnieć, skoro — z założenia przecież nastawiona na sprawy ziemskie — nie rezygnuje z inspiracji raczej eschatologicznej. I jakoś trudno kojarzę sobie bardzo konkretny przyczynek z powodu czyjchś nieumiejętności poetyckich ze stwierdzeniem, że jesienią spadają liście. Chyba, że jest to ostrzeżenie dla wydawnictwa przed grafomańską działalnością tej pory roku. Ale to temat oddzielny.

Ijon

Rys. L. Szalecki

FELIETON Z REZERWY

Festiwal czy targi?

W OSTATNICH dniach października odbył się w Lublinie Festiwal Filmów Rolniczych. Jest to impreza mało znana ogółowi społeczeństwa, choć organizuje się ją już od kilku lat. Ba, tegoroczny festiwal wywołał jeszcze słabsze zainteresowanie publiczności, niż poprzednie. Zaczęto nawet mówić, że się zupełnie nie udał i że nie ma sensu go powtarzać. Natomiast kinematograficy z Poznania wystąpili z propozycją przejęcia imprezy, gwarantując, iż u nich otrzyma ona odpowiedni rozmach.

Krytyka festiwalu lubelskiego była słuszna. Organizatorzy włożyli weń sporo pracy, a uzyskali mizerne efekty. Rzecz zaś w tym, że założenia festiwalu były od początku błędne. Miała to być impreza o charakterze artystycznym. Jeśli odbywają się co roku festiwale filmowe w Cannes, Wenecji, Karlowych Varach i San Sebastian, jeśli Warszawa organizuje Festiwal Festiwali Filmowych (co za szumna nazwa!), a Kraków — festiwal filmów krótkometrażowych, to i Lublinowi też coś takiego się przyda. Ale co? Dublować innych imprez nie można, zresztą nikt nie da na to pieniędzy. Może więc coś związanego z charakterem miasta, czy województwa?

I oto zrodził się Festiwal Filmów Rolniczych. To znaczy filmów oświatowych, instruktażowych, bo fabularne na tematy rolnicze powstają zbyt rzadko. Niestety, taki zamysł nie mógł przynieść odpowiednich skutków. Impreza nie mogła stać się fetą dla miasta, dniami radości, rozrywki i zaspokojenia lokalnych snobizmów. Wymiona nawet najbardziej mlecznej holenderki prowadzonej przez Krakowskie Przedmieście nie wywołają zbiegowiska, jakie spowodowałaby nawet mało inteligentna gwiazdeczka obdarzona przez naturę wybujałym biustem. Tematy „Stosowanie popiołów", „Rozstrzasacz obornika MK 16" czy „Mechanizacja chlewów", choćby najlepiej zrobione nie są w stanie natchnąć do dyskusji. Festiwal nie udał się więc z powodu źle skierowanych ambicji organizatorów.

A przecież powinna to być impreza pożyteczna, potrzebna, w Lublinie być może nawet więcej niż gdzie indziej! Mamy w województwie sporo gruntów wysokiej klasy, na których prowadzona jest gospodarka sposobami dość prymitywnymi, zacofanymi. Pokazanie naszym rolnikom filmów przedstawiających nowoczesne metody gospodarowania i służące temu maszyny pomogłoby im bardzo wiele.

Każdemu choć trochę zorientowanemu w temacie człowiekowi wiadomo, że w Polsce kręci się znacznie więcej filmów oświatowych i popularnonaukowych, niż pokazuje się ich w kinach. To samo zresztą dotyczy reportażu filmowego, filmów dokumentalnych i w ogóle krótkiego metrażu. Do tego mamy jeszcze obrazy z importu. Nie wiadomo właściwie, dlaczego w ćwierćmilionowym Lublinie nie ma ani jednego kina wyświetlającego nonstop takie filmy, choć np. kino w Ratuszu, a więc położone przy głównym ciągu spacerowym, nadawałoby się idealnie do podobnych projekcji. Odpowiedni zestaw tytułów zapewniłby dobrą frekwencję. Przypuszczać tak można choćby na podstawie zainteresowania, jakie wywołuje literatura popularnonaukowa, reportaże i pamiętniki. Te same tematy pokazane na ekranie miałyby zapewne jeszcze więcej zwolenników niż mają w druku.

Identycznie wygląda sprawa filmu rolniczego. Tylko drobna część tytułów trafia na ekrany kin wiejskich. Potraktowanie więc lubelskiego festiwalu jako przeglądu filmów rolniczych polskich i importowanych, zaproszenie nań działaczy rolniczych z całego kraju, dyrektorów PGR, pracowników administracji państwowej zajmujących się sprawami rolnictwa (przy czym z Lubelszczyzny należałoby zaprosić i osoby z niższych szczebli, nawet sołtysów i agronomów gromadzkich), kierowników kin wiejskich, mogłoby przynieść znaczne korzyści społeczne. Ci ludzie bowiem niewątpliwie zainteresowaliby treścią tych filmów szerokie rzesze rolników. Jeśli słowo festiwal cokolwiek nam mówi, jeśli wiążemy z nim jakieś wyobrażenia, to nie powinien to być festiwal, lecz kiermasz, giełda czy też targi filmów rolniczych. Kupcie ten film, obejrzyjcie go, to wam się przyda, skorzystacie na tym. Współczesny rolnik, zwłaszcza młody i średniego pokolenia, zdaje sobie sprawę z konieczności podwyższania kwalifikacji, wie, że przyjdą za tym wyższe plony. Chętnie korzysta więc z możliwości doszkalania się.

Na festiwal lubelski zaproszono, oczywiście, pewną grupę ludzi zawodowo związanych z rolnictwem. Goście ci mieli chyba spełniać funkcję reprezentacji, a nie transmisji przenoszącej co wartościowsze owoce festiwalu do producentów ziemiopłodów. Zresztą organizowanie imprezy pod koniec października, w bardzo gorący dla rolnictwa czas, już dowodziło, że nie chodzi o zainteresowanie nią jak najszerszych rzesz widzów wiejskich.

Przegląd filmów rolniczych w Lublinie jest potrzebny, na pewno bardziej niż w Poznaniu, gdyż wiele zagadnień, będących dla rolników wielkopolskich codziennością, dla naszych jest wciąż odkrywaniem Ameryki. Powinien jednak on mieć nie charakter festiwalu artystycznego, połączonego z wręczaniem srebrnych koniczyn, bo to nie tylko śmieszy, ale i mija się z celem — lecz imprezy mającej na celu poinformowanie wsi o tych filmach i sprzedanie jej tych filmów.

Paliwoda

P. S. Festiwalomania zatacza coraz szersze kręgi. „Dlaczego Zamość nie ma jeszcze swego festiwalu?" — przeczytałem w jednej z gazet, zupełnie jak by jakikolwiek festiwal był niezbędny dla każdego miasta, jak łaźnia, kino, czy szpital powiatowy.

NOTY i notki

Po wyświetleniu 5 odcinków „Kolumbów" telewizja pokazała fragmenty dyskusji, w której obok Romana Bratnego, autora powieści i scenariusza, oraz dwóch aktorów, wzięli udział studenci. Mimo że „Kolumbów" sfilmowano przynajmniej 18 lat za późno, dyskusja z dzisiejszymi studentami mogła być bardzo interesująca. Niestety, stało się inaczej. Najpierw usłyszeliśmy długi wykład Bratnego o trudnościach adaptacyjnych powieści na ekran, co jest prawdą znaną od dawna, a potem, gdy jeden ze studentów zarzucił autorowi, że nie pokazał „całej prawdy" o Powstaniu Warszawskim — znów bardzo długi monolog autora. I ten monolog był słuszny, ale przecież dyskusji nie organizowano po to, aby Bratny raz jeszcze wykładał swoje credo, bo zrobił to już w powieści i w serialu. W rezultacie nie usłyszeliśmy prawie nic o tym, co myślą studenci o niewątpliwie złożonym problemie Powstania.

Natomiast gorące dyskusje na temat werdyktu jury w VIII Konkursie Chopinowskim nie ustają. K. Lisiecki w „Kierunkach" pisał delikatnie tylko o nieporozumieniach, ale L. Erhardt w „Kulturze" wprost o „posmaczku skandalu". Natomiast Wojciech Dzieduszycki (ten od dymka) w „Życiu Literackim" (nr 47) nie wykłócał się już z jurorami, ale napisał zdanie, które warto powtórzyć, bo — bez obrazy — dotyczy także niektórych (wielu?) konkursów literackich, a zwłaszcza poetyckich: „Łatwiej przez sito selekcyjne może przebrnąć najlepszy z przeciętnych, niż najwybitniejszy z nieprzeciętnych".

Na pociechę można dodać, że nie tylko w konkursach muzycznych i literackich zdarzają się pomyłki. Na „Wojewódzkim Konkursie Fryzjerstwa Artystycznego" w Szczecinie pierwsze miejsce uzyskała fryzura, której kunsztowne loczki, spięcia i inne zakrętasy dosłownie rozleciały się w chwili, gdy modelka schodziła z estrady przed jury. Ponieważ jury zawsze ma rację — nagrody oczywiście nie anulowano.

Zresztą zachowanie proporcji między podejściem obiektywnym a subiektywnym nie jest łatwe i w innych dziedzinach. Państwowe Wydawnictwo Naukowe zamówiło u kilku historyków (prowincjonalnych — rzecz nadzwyczajna) podręcznik historii Polski objętości 50 arkuszy wydawniczych czyli około 1000 stron maszynopisu. Aby było sprawiedliwie, wydawnictwo dało historykom rok na pracę twórczą, a sobie na reprodukcję tej pracy także rok.

O ile tzw. artykuły zasadnicze w naszej prasie pisane są coraz lepszą polszczyzną, o tyle wiadomości z tzw. kroniki wypadków wołają o pomstę do nieba. „Kurier Polski" (nr 260) w dziale „Kurioza polskie" przedrukowuje z „Głosu Pracy" wiadomość o kierowcy warszawskiego autobusu, który pewnej pasażerce zamknął wewnątrz wozu dłonie i stopy, a całą resztę pozostawił na zewnątrz i spokojnie ruszył dalej — zatrzymując się dopiero po dłuższej chwili w wyniku gwałtownej interwencji pasażerów. Wiadomostkę tę autor „Kuriozów" opatrzył rzeczywiście kuriozalnym tytułem: „Antyfeministka".

Z kolei gdańskie „Litery" (nr 11) zajęły się wymierającymi już — jak same stwierdzają — polskimi hippiesami. Więc tylko dla historii warto z reportażu na ten temat odnotować dwa fakty: 1) „Prorok" czyli król polskich hippiesów był poprzednio studentem filozofii Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. 2) „Pies" czyli wicekról to „syn znanego nie tylko w Krakowie dziennikarza i literata".

„Gdy tylko gazetę weźmie do ręki, albo radio nastawię, albo w telewizor patrzę — jakieś zwroty uczone (...) wyłaniają się wielkim głosem domagają się: GOSPODARKA INTENSYWNA, GOSPODARKA EKSTENSYWNA, NOWY SYSTEM BODŹCÓW MATERIALNEGO ZAINTERESOWANIA etc. etc." — troska się niejaki Zdzisław Kowalczyk w nr 45 tygodnika studenckiego „ITD". Tuż obok jedna z czytelniczek na marginesie toczącej się w tym piśmie od wielu numerów dyskusji na temat pornografii pisze: „A pismo Wasze jest chyba dla ludzi dorosłych". Wygląda na to, że jeżeli chodzi o pornografię — raczej tak, ale gdy znajdziemy się w rejonach ekonomiki i aktualnych kampanii politycznych — to nie.

Aż półtorej strony w „Poglądach" (nr 21) zajęła gwałtowna polemika Jana Szczorsa z Jackiem Stworą, a właściwie jego monodramem „Co jest za tym murem?". Polemika o tyle spóźniona, że monodram nadano w telewizji równo 50 tygodni temu — ale nie takie rzeczy się zdarzają. Szczors przyznaje, że sam spędził kilka lat w więzieniu, po czym tak kończy swoją polemikę: „Aby napisać tę pełną prawdę o ludziach odbywających kary pozbawienia wolności, trzeba koniecznie przeżyć wśród nich co najmniej kilka lat (...) A jeżeli się wśród nich nie było, wtedy nie wolno"... Co jednak robić, gdy dzisiejsi literaci nie chcą być Urke Nachalnikami? A kto w takim razie miałby prawo pisać o Napoleonie czy Einsteinie?

JOD

Odpowiedzi redakcji

S. S. w Brzozowie. Coś nam podpowiada, że nie powinien Pan rezygnować z pisania. Z oceną natomiast chcielibyśmy się jeszcze wstrzymać. W każdym razie zyskał naszą aprobatę „kot, co się owinął w cichy szelest". Radzilibyśmy obejrzeć jakieś nowe Pańskie teksty — powiedzmy — za pół roku. Do tego czasu musi Pan intensywnie pracować nad rozwijaniem własnego talentu. Pozdrowienia.

M. K. w Poznaniu. Wyobraźnia nasza nie jest absolutnie w stanie wytrzymać „pustej skroni głupiej wrony", „śmiechu modelowego wyjąknięć", „odstrzelenia w pysk", „rozmodlonych żołądków" („rozmodlonych"!), „dobrych ludzi spojonych krwią"... Porozmawiajmy spokojnie — czy jest Pan pewny i całkowicie świadom, co chciałby Pan wyrazić w swej poezji, jakie to przeświadczenia o świecie i człowieku zakomunikować czytelnikowi? Bo my zupełnie rozeznać się w tym nie potrafimy.

J. R. we Włocławku. Uprawia Pan poezję z gatunku: „sąd nad światem". Refleksje, formuły poznawcze zawarte w tekstach nie we wszystkim są banalne, choć tego rodzaju niebezpieczeństwo (właśnie banalności myślowej) szczególnie zdaje się towarzyszyć poezji młodych ludzi, usiłujących tworzyć literaturę tzw. filozoficzną (gdzie tematem jest myśl ludzka przede wszystkim, a nie emocja). U Pana refleksje często wyrażane bywają zbyt bezpośrednio — metodą jakby publicystyczną (i to jest drugie niebezpieczeństwo typowe). Całkowita jednoznaczność formułowań nigdy nie wychodzi literaturze na dobre, tak samo przesada wieloznaczność. Musi Pan umiejętnie wypośrodkować między tymi biegunami. Tekstów nie niszczymy, oczekując na następną partię, gdy uzna Pan, że nowe wiersze dojrzały do publikacji. Cieszylibyśmy się, gdyby nasza rada na coś się przydała.

„Adam R. z Lublina". Niestety, trzeba sobie kiedyś po męsku powiedzieć, że poetą się nie będzie nigdy, skoro po ośmiu latach wysiłków jeszcze Pana stać na literackie ożywianie „majów — czasów kochania", „ust jak koral czerwonych" „sreber strumyka", „szalonych młodości" itd. Są to rekwizyty przeniesione z XVIII-wiecznej poezji sentymentalnej. Szmat czasu ma do odrobienia Pańska muza, jednego życia ludzkiego nie starczyłoby na to.

A. L. w Lublinie. Według naszego gustu — proza Pańska nie posiada walorów literackich, aczkolwiek wierzymy w autentyczność przeżyć i uczuć, które ją animują. Potrzeba by jeszcze umiejętności wyrazu, a tych brak, niestety. Pozdrawiamy.

J. J. w Krośnie. Wiersz Pańskiego znajomego nie kwalifikuje się do druku, dlatego, że poza stwierdzeniem rudymentarnego faktu, nie wyprowadza żadnych konsekwencji „ludzkich", jakie ten niebagatelny przecie fakt bez wątpienia w sobie kryje. Dla niezorientowanych informacja — chodzi o lądowanie człowieka na Księżycu.

K. N. w Lublinie. Namawiamy do odnowienia kontaktów z naszą redakcją. Jak pewno Pan zauważył — prozę Pańską niejednokrotnie już publikowaliśmy. Nie wszystkie jednak przysłane teksty jesteśmy w stanie drukować, nawet w przypadku autorów, którzy się na tych łamach sprawdzili. Liczymy na nowe Pańskie opowiadania, a także na odwiedziny w redakcji.

I. W. w Bielsku-Białej. Niestety, mimo najszczerszych chęci i mimo naszego głębokiego zrozumienia sytuacji Pani koleżanki — żadnego z tekstów wydrukować nie możemy, ponieważ — wedle naszych przekonań — nie zdradzają talentu poetyckiego.

W. S. w Koszalinie. Literatura nie znosi też bezpośrednio, publicystycznie formułowanych, w czym celuje Pańska proza. Dobry utwór jest zazwyczaj wieloznaczny (co nie oznacza, że wszystkoznaczny). Musi Pan przemyśleć tę prawdę — po co ona jest i czemu ma w literaturze służyć?

A. S. w Żurominie. Nie skorzystamy.